

6594

ZYGMUNT NOWAKOWSKI



Lajkonik

M. BARTOSZEWICZ

## LAJKONIK

\*

Zygmunt Nowakowski nazwał swe felietony *czkawką dziejów* i może ta oryginalna definicja najlepiej określa wartość jego niedzielnych artykułów. Choć służą potrzebom dnia, przecież niewątpliwie pozostaną jako swoisty dokument historyczny, jako krzywe a jednak wierne zwierciadło, czy też jako źródło, z którego na pewno skorzysta przyszły badacz naszych czasów. Anegdota, żart, porównanie, kalambur walczą u świetnego pisarza o lepsze z bogactwem obserwacji, z niezwykłą, prawie detektywistyczną czujnością na wszelkie przejawy życia. Interesuje go wszystko: polityka i teatr, ortografia i emeryci zaborczy, sądownictwo i sport, literatura i Kiepusza... Poruszając tyle najróżnorodniejszych tematów, nie myli się nigdy ani w ich wyborze, ani w opracowaniu.

Humor, wdzięk, lekkość, zdolność przerzucania się w najrozmaitsze formy — to walory mistrzowskiego pióra Z. Nowakowskiego, które w LAJKONIKU występują w całej pełni.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

# LAJKONIK

---

---

KSIAŻNICA-ATLAS \* LWÓW-WARSZAWA





LAJKONIK

Pani Kori: Tom Rodanow  
i sijnami woske Jurek  
i p. przes t. o. t.  
Gymnast Warshawa  
Kruszys 1938



ZYGMUNT NOWAKOWSKI

# LAJKONIK



---

KSIĄŻNICA-ATLAS \* LWÓW-WARSZAWA

RYSUNKI WYKONAŁ I OBWOLUTĘ PROJEKTOWAŁ  
WŁODZIMIERZ BARTOSZEWICZ



11-367797

Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne  
Museum Historii Fotografii  
Dział Archiwaliów

2861

ZAKŁADY GRAFICZNE SKI AKC. KSIĄŻNICA-ATLAS WE LWOWIE  
COPYRIGHT, 1938, BY S. A. KSIĄŻNICA-ATLAS, LWÓW-WARSZAWA  
PRINTED IN POLAND

B VIII



# O POWOŁANIU FELIETONISTY

(KILKA RAD DLA POCZĄTKUJĄCYCH)



Siłą faktu wytworzyła się w tobie pewna megalomania. Nie przecz, bo tak jest w istocie! Po pierwszych, jakich takich sukcesach będziesz utrzymywał, że jesteś wielki. Nieprawda! Nie ty, ale głupstwo jest wielkie! To zasadnicza pomyłka.

Nawet nie próbuj dysputować ze mną, bo ja znam się na tym. Megalomania stanowi nieodłączną, choć wtórną cechę felietonisty. Kiedyś napiszę o tym powieść. Powieść autobiograficzną. Po prostu felietoniście musi się przewrócić we łbie. Listy, kwiaty, komplementy, ułatwienia na każdym kroku. Wysokie figury i szary człowiek, pensjonarki, urzędniczki, hrabiny. Jak Boga kocham, hrabiny! A trafi się nawet i księżna poniektóra z takich bardziej podupadłych. Ho, ho...

Krok jeszcze, a staniesz się Kiepurą. I tak rozdajesz

autografy, rozsyłasz „fotki“, powieliwszy jedno ze stosunkowo bardziej udanych zdjęć twoich. Jest dookoła ciebie szum, początkowo mile głaszczący ucho, później zaś natrętny, denerwujący: „...owski! ...owski!“.

\* \* \*

Mówiliśmy o głupstwie. Jesteś fotografem ulicznym, takim trochę natrętnym leikarzem, który nastawia obiektyw na każde głupstwo. Kontroluje cię i spędza z ulicy policja, przechodzące zaś głupstwo zasłania się przed tobą, macha z dala ręką, znak dając, że nie życzy sobie tego zdjęcia, ale ty nie chcesz ustąpić. Wykorzystujesz jakiś moment i... pstryk! Zdjęcie gotowe. En face, z profilu, z tyłu... Kłaniasz się wdzięcznie i temuż przechodzącemu głupstwu wręczasz kwit z numerem: proszę zgłosić się w najbliższą niedzielę! Ile odbitek mam zrobić?

— Wystarczy jedna...

— O, nie! Co najmniej trzysta tysięcy...

\* \* \*

Z biegiem czasu przestaje ci wystarczać sama ulica i głupstwo, idziesz więc dalej, sięgasz głębiej. Zapuszczasz sondę np. tam, gdzie króluje nędza, albo dla odmiany wybiegasz na szerokie błonia, kędy pasie się bezwstyd, gdzie rozwała się chamstwo, gdzie hasa przemoc, lub stajesz nad głęboką, mętną wodą, w której łowiąc złote rybki, kąpie się obłuda. Po tych szerokich błoniach, nad brzegami tych mętnych wód, harcujesz z pałką w ręce, o, niedzielny Lajkoniku.

Niesie cię twój drewniany koń wszędzie. Zaglądasz do

fabryki i do teatru, do przytułku dla ubogich i do radia, do szpitala i do ministerstwa oświaty, na pocztę i do Akademii Literatury, wszędzie, wszędzie!

Nazwisko twoje w niedzielnym odcinku — to jakby smakowita zapowiedź: „Dzisiaj flaczki!“ Zamiast jednak osiąść na laurach, staraj się za każdym razem zmieniać menu, dawać zawsze coś innego. I tak przejesz się wszystkim i sobie samemu, ale mimo to musisz aż do śmierci dbać o urozmaicony jadłospis, nie powtarzając tych samych potraw. O, wielka to mądrość umieć w porę zleźć np. z Kadena.

\* \* \*

O jedno możesz być spokojny: tematu nie braknie ci nigdy! Powiedziałem, że jesteś natrętnym leikarzem ulicznym. Lecz to dopiero początek kariery, po upływie bowiem jakichś dwóch, trzech lat, nie leikarz, ale głupstwo staje się natrętne. Dzwoni do ciebie od samego rana, wciska się przez wszystkie szpary, siada ci przy biurku, samo ściąga z siebie nie tylko generalia, ale i koszulę. Staje gołe i każe się opukać, zbadać, pomacać, podaje alibi, cyfry, daty, samo wygotowuje akt oskarżenia. Dostarcza ci auta, abyś przeprowadził wizję lokalną. Zawala ci stół tematami, rzuca stos listów, anonimów, donosów, insynuacyj, skarg. A gdy wyjdzie jakaś niemądra książka, otrzymujesz ją z dziesięciu stron w dziesięciu egzemplarzach. I wcale nie musisz czytać całej książki, ponieważ nadawcy zrobili to za ciebie. Przysyłają książkę — zwłaszcza, jeśli to książka naukowa — z pozakreślonymi ustępami, pełną wykrzykników, uwag, gloss na marginesie. Przychodzisz do gotowego.

Głupstwo pracuje na ciebie.

Gdy już osiągniesz ten stopień rozwoju, śmiało możesz zażądać podwyżki w redakcji. Zapewniam cię, że nie odmówią, jeżeli tylko rozumieją własny interes.

\*       \*       \*

Nie chciałbym jednak, abyś ludził się nadzieją zysku. Pomnij, że felieton jako taki, to interes a priori deficytowy. Im większe powodzenie, tym gorsza kalkulacja. Régie pochłania wszystko. Zjadają cię koszta manipulacyjne, utrzymanie drugiego oddziału, poczta, książki, wyjazdy, ofiary dobroczynne i rozmaite szlachetne gesty, którym ty musisz dać początek. A doją cię ludzie bez miłosierdzia w przekonaniu, że artykuły i odczyty wytrząsas z rękawa. I prośba o odczyt z reguły kończy się słowami: „Wybór tematu pozostawiamy już Panu Redaktorowi“... Przynajmniej to, że nie krępują człowieka! A, żebyście pękli!

Jak samo Maggi sączy się na tę przedmowę gorycz, zebrana w ciągu pracowitej piatiletki. Żeby więc skończyć z tym i przejść do rzeczy weselszych, powiem ci jeszcze, że wyciągniesz kopyta, zostawiwszy niezmiernie wiele zaległości. Bo to robota nie do przerobienia. Co niedziela będziesz sobie mówił: „Nie uciągnę już! Nie dam rady!“ Zazdrościsz koniowi, który wyprzągł.

Ale, ale... Na przekór goryczy i zmęczeniu (och, jak lekkomyślnie odślaniam wszystkie moje karty!...) podrywasz się czasem, jak ściągnięty batem przez plecy, chlejesz jedną kawę za drugą i piszesz w wariackim tempie, w upojeniu, wybuchając raz po raz śmiechem pustym, studenckim prawie, a może i dzieciennym. Bo felieton, to namiętność, to gonitwa, to polowanie z nagonką. Cały dowcip na tym polega, aby nagonką był czytelnik.

Aby stał ktoś za tobą i podawał ci strzelby. Aby głupstwo samo wyszło ci pod strzał i upozowało się wdzięcznie, jak niedźwiedź Panu Prezydentowi.

\* \* \*

Nigdy w niedzielę nie jeżdżę koleją. Atmosfera w wagonie jest dla mnie męką nie do zniesienia. Przeważnie każdy, w najgorszym wypadku co drugi pasażer ma w ręce „Kuryera“. Zasztyty w kącie patrzę, przeżywając tortury. Oni zaś czytają mnie żywcem. Na policzkach mam wypieki, usta są suche, podczas gdy równocześnie występuje charakterystyczne podrażnienie pęcherza. Czytają mnie albo też mówią o mnie!...

— No, zobaczymy, co też ten Nowakowski wymyślił na dzisiaj! — powiada jakaś zażywna imość.

— E, proszę pani, odkąd go kupiła sanacja, straciłem resztę sympatii! — odpowiada pan, cierpiący, zdaje się, na raka wątroby.

— A czy to prawda, że on z Żydów?

— Możliwe, bo czasem zalatuje od niego endekiem na milę... Ale ciekawe, że siedzi cicho w sprawie tej kolejki w Tatrach...

— Pewnie przekupiony... — odzywa się milczący dotąd oficer. — Podobno brał udział w deputacji, która z Dąbrowskim na czele złożyła na Sowińcu ziemię z Kasprowego...

— Cynizm! — wyrokuje bezapelacyjnie imość.

Gadają, gadają, gadają, a moja megalomania rośnie, rośnie, rośnie... Ale zdarzyło mi się raz, że jechałem do Tarnowa z jakimś tęgim panem, który po przeczytaniu pierwszych zdań mego felietonu, a tempo chrapnął smacznie. Tuż obok leżał spory nóż. Wrodzone poczucie

taktu kazało mi jednak pohamować pierwszy odruch gniewu. Ale w Tarnowie cichutko jak mysz wstałem, ubrałem się i wyszedłem na palcach. Spał! Spał, a numer niedzielnego „Kuryera“ wypadł mu z tłustych rąk. Miał wysiąść w Tarnowie... O, nie zbudzę cię! Śpij przynajmniej do Jarosławia!

\* \* \*

Straszliwą cechą tego zawodu jest fakt, że choćbyś nie chciał, musisz sobie fabrykować wrogów na prawo i na lewo.

Mimo to nie rób sobie nic z tego, że ten i ów przestał ci się kłaniać albo całować w mankiet. Zapanuj nad odruchem serca w momentach, gdy np. jesteś na dobrej kolacji u kogoś, a wiesz, że już złożony jest numer, w którym właśnie Amfitrion straszliwe od ciebie dostał cięgi. Artykuł pójdzie, bo pójść musi. Bo to twój przekłety fach. A kolacja była taka dobra! I już cię nigdy nie zaproszą...

Lecz nie napadaj nigdy na słabszych, z zamiłowaniem robiąc sobie wrogów li tylko wśród możnych tego świata!

# CHŁOPAK Z SOSNOWCA

CZYLI

## DNI KIEPURY



Oszalał Kraków i poznać go nie można! To jakby wariacja na temat Kiepur! Boski „chłopak z Sosnowca“ błyskawicznie umuzykalnił ten gród, żyjący dotychczas przeważnie w Boy’owskiej tonacji *ra-mol*. Z Krakowa zrobiło się nagle śpiewające miasto, a nad tym miastem przeciągają gradowe burze oklasków. Po iluminowanych Plantach ludzie chodzą legato. Legato i sospirando. Ścisk nieopisany! Tonacja niekiedy „fe-dur“. Przybysze, którzy tłumnie zjechali na „Dni Krakowa“ (tonacja „dur-eń“) z najdalszych przedmieść, jako to z Ludwinowa, Zakrzówka, Grzegórzek, ba, z Krowodrzy i z da-

lekiego Dąbia, do niedawna jeszcze narzekali unisono, że nie ma tu nic do widzenia, a dziś podochoceni muzyką, zaczepiają pizzicato liczne córki Koryntu, które na ulicy Lubicz robią przyjezdnym honory domu.

Żyjemy w znaku muzyki, w znaku wysokiego cis. Opowiadają, że niektóre osoby z sądownictwa poszły czy też pójdą pod klucz wiolinowy. Taka dłuższa fermata... Policjanci zamiast pałek mają rodzaj batuty, którą stukają staccato w głowy przechodniów. Dyrygują ruchem ulicznym, nawołując na tramwaje i auta: „Presto! Vivace!“. Ale one wołają jechać adagio, lento. Po krakowsku. Dorożki są zaprzężone w interwałach. A wszystkiemu akompaniuje dyskretna, powściągliwa reklama I. K. C. Piano, pianissimo.

Chwilami wzmaga się opętane tempo „Dni Krakowa“. Np. podczas jednej z największych atrakcyj, a więc na dancingu pod kościołem św. Krzyża, wybuchnęła lekka bójka towarzyska (animato) i zaczęto się żgać nożami (con sordini). Rodzaj orkiestry rzniętej. Bójka z kamestralnej początkowo przemieniła się w symfoniczną. Con brio. Na to wystąpiła policja z właściwą sobie perkusją. Forte, vigoroso. Wtedy tłum wykonał fugę. Con pedale. Policjanci bili jak w bęben (marcato). Po krótkiej przerwie, gdy tłum rozbawionych zwolenników muzyki lekkiej i tanecznej zebrał się i ponownie zinstrumentował w jakimś innym kontrapunkcie, policja zaczęła od repetycji, bijąc da capo al segno przodownika (tempo rubato).

Taki to był Kraków w „Dniach Kiepur“! Nawet straż pożarna pędzi do ognia con fuoco! Co prawda, pożary należą do rzadkości, jako że na ważniejszych placach i punktach węzłowych, którymi przeciągać może



poprzedzany banderią krakusów rydwan Kiepury, umieszczono — podobnie jak lat ubiegłych — tablice z napisem: „Palić nie wolno!“.

\* \* \*

A palić nie wolno, ponieważ na każdym miejscu i o każdej dobie Kiepura może nagle zaimprovizować koncert. Szalony, doprawdy, jest ten „chłopak z Sosnowca“! Szalony i marnotrawny! Człek życzliwy powinien by mu nałożyć kaftan bezpieczeństwa na gardło! Kiepura śpiewa sub Iove, śpiewa ludowi, który go eksploatuje w sposób nahalny. Lud zrobił strajk okupacyjny pod Grand Hotelem. O głodzie i chłodzie, w upale czy w deszczu ludzie czekali na pieśń. A Kiepura pojawiał się w szlafroku na parapecie okna, nawet nie uwiązany liną bezpieczeństwa. Jedyne sekretarz osobisty asekurował go za połę szlafroka. I padały słowa „Tobie śpiewam tę pieśń!“ Tobie, tj. narodowi.

Śpiewa pod Grandem, pod Wawelem, na kolei. Zaraz po przyjeździe, ledwo postawił nogę na naszym krakowskim, strasznym dworcu, zaintonował arię ze „Strasznego dworu“. Bo Kiepura nie umie się oprzeć i daje gardło. Śpiewał tak, aż trzęsło się w posiadach pobliskie województwo. On nie oszczędza pary. Pospólstwo z gardła wydiera mu gorące tony. Tony, które po prostu parzą.

Przypomina Kiepura owego szlachetnego dziwaka z Wileńszczyzny, który zajeżdżał do George'a w Wilnie albo w Warszawie do Hotelu Europejskiego i garściami rozrzucał pieniądze między tłum. Ludzie bili się o złotówki. A dzisiaj, w Krakowie, ludzie biją się także, ale o stukaratowe, dźwięczne pieśni! Były być bliżej śpiewaka! Bo też Kiepura sypie ze stopni auta złotem grubo

szlachetniejszym, o wiele wyższej próby niż złotówki szlagona z Wileńszczyzny. Okrągłe, szczerozłote nuty leją się niczym dukaty z krtani tego rozrzutnika, którego stanowczo powinno się wziąć pod kuratelę. Nie pozwólmy, aby tłum kładł mu dosłownie nóż na gardle!

Gdy zachodziła obawa, że Cezar może zachrypnąć, Petroniusz (o ile się nie mylę) zatkał mu usta jedwabną chustką i rzekł: „Panie, spal Rzym, ale ocal swój głos!“. Otóż, gdy słyszę, że lud dobiera się do bisów Kiepury, zawsze myślę sobie, że przydałby się artyście właśnie taki przyboczny Petroniusz, który by zasłonił mu usta i rzekł: „Panie, spal Sosnowiec, ale szanuj struny głosowe, bo drugich takich nie znajdziesz w świecie całym!“. Przydałby mu się taki Petroniusz także i w innych okazjach...

Chwilami odnoszę wrażenie, że Kiepura przygotowuje się do odegrania jakiejś wybitnej roli politycznej. „Tobie śpiewam tę pieśń, narodzie!“... Jego występy oratorskie nie są pozbawione motywu lekko demagogicznego. „Śpiewam dla tych, którzy nie mają pieniędzy na bilet!“... Albo ten snobizm na punkcie Sosnowca! Hm, to daje do myślenia. Zwróćmy zaś uwagę na niby to przygodnie rzucane a jędrne uwagi na temat kryzysu, naszej polityki zagranicznej, zagadnień ekonomicznych, politycznych itd., itd. Już kilka słów, rzuconych z okna hotelu, było rodzajem exposé tak programowego, że musiał je bisować.

Lud stoi i stoi pod oknami, a wreszcie, pewnego dnia... I tu przychodzą mi na myśl słowa z Norwida, opisujące moment, gdy „znudzony pieśnią lud wołał o czyny“... Bo też my wszyscy możemy powiedzieć jak u Norwida: „Klaskaniem mając obrzękle prawicę“...

Siła i zdrowie Kiepury są czymś żywiołowym, nadludzkim. Normalny tenor, czyli w żargonie zakulisowym „kwiczoł“, to zazwyczaj istota krucha, zatroskana o swój wąty, cieniutki głosik, otulona zawsze i spowita w jakieś chusty, wiecznie umierająca z tremy. Normalny tenor jest w permanencji niedysponowany. „Mi-mi-mi“... I nic z tego „mi-mi-mi“ nie wychodzi. Tenor kichnie rano i telefonuje do dyrekcji, że śpiewać wieczór nie będzie, po czym prosi o sprowadzenie księdza. To neurastenik, zatruwający życie najbliższej rodzinie i całej operze. Hamlet, który stale zadaje sobie pytanie: „Śpiewać czy nie śpiewać“?

Kiepura jest tegoż kwiczoła brawurowym, wspaniałym kontrastem. Wysilek, nadludzki dla innych śpiewaków, u niego wydaje się być zabawką. Piekielna partia w kilkuaktowej operze jest dla Kiepury zaledwie jakąś przygrywką, wstępem do właściwego koncertu. Siedzi w nim demon śpiewu. To Wezuwiusz, z którego nieustannie wybuchają żywy ogień i lawa tonów. Człowiek szczęśliwy, który drwi sobie z wszelkich przeszkód i samo życie bierze na... cis. Na to najgórniejsze! I płynie przez świat koloraturą!

Szczęśliwy Sosnowcu (a może „Sosnowcze“?)! Właśnie tam, w Zagłębiu Dąbrowskiego, przyszło na świat to cudowne dziecię szczęścia, ten rozbawiony i odrobinę rozbuchany „chłopak ze Sosnowca“, który jakimś zawrotnym pasażem, na skrzydłach pieśni i w huraganie oklasków, z szeroko rozstawionymi łokciami wali przez Europę, przez wszechświat cały, trąbiąc rozgłośnie: „O, sole mio!“ Człowiek o tysiącu kilowatów! Najsilniejsza polska stacja nadawcza, której antenę stanowi nos, może nie całkiem klasyczny, ale zadarty dumnie i zuchwale.

Bo Kieपुरa dumny jest z tego, że jest Polakiem. I szeroko rozstawionymi łokciami wywalcza miejsce dla polskiej mowy i polskiej pieśni. Śpiewa na Kärtnerstrasse, na Unter den Linden, na Avenue de l'Opéra czy pod Gewandhausem, śpiewa z piersi na miarę naprawdę Fidiasza. I nigdzie, nigdzie nie zapomina nie tylko o ojczyźnie przez duże O, ale i o tej mniejszej, której na imię Sosnowiec. Siedząc przelotnie to na tej, to na owej półkuli, w Packardzie, Buicku czy Minerwie lub Hispano-Suizie, pamięta dymy ojczystego miasta. Powtarzam: „O, szczęśliwy Sosnowcu!“ Ojczyzna u niego na pierwszym miejscu. Dlatego też w jakimkolwiek stanie Palace-Hotelu, mówi od razu: „To nie Patria!“

I jakże wspaniała jest ta droga z Sosnowca na Wawel!

\* \* \*

Może była niejaka przesada w słowach reklamy, posługującej się hasłem „Cały Kraków wita Kiepurę o drugiej w nocy na dworcu“. Bądź co bądź, brakowało kilku osób. Ale na pewno cały Kraków zęgnął go serdecznie i dziękował. Bo jest za co dziękować. Osobiście przyłączam się do chóru imieninowego i śpiewam: „Sto lat! Sto lat!“

Ale Kieपुरa już tego nie usłyszy, bo jest daleko. Strudzony hołdami, wymknął się niespostrzeżenie, w przebraniu szofera M. Dąbrowskiego. W oknach hotelu ukazywał się co pewien czas jego sobowtór, a Ladis puszczał ciągle tą samą płytę. Mianowicie płytę „Choćbym jeszcze piękniej śpiewał po włosku i po francusku, zawsze jestem waszym chłopakiem z Sosnowca!“ Tłum stał i stał, bez jadła ni napoju do późnych godzin wieczornych. I potem przez noc całą, aż do rana, gdy nastał szary „Dzień Krakowa“.

Kiepura zaś, jak się wspomniało, syt owacyj, przez tajną furtkę w Grandzie wymknął się jeszcze bardziej dyskretnie niż sam Walezy. Jechał zaledwie samopięt. Z sekretarzem osobistym, z masażystką, marszałkiem dworu, z podkanclerzym i z lejbmedykiem. Jechał stukonnym Mercedeselem.

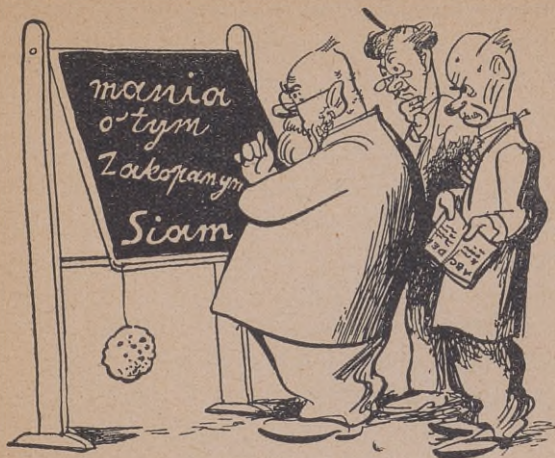
Słyszałem o królu, który wymknął się z Krakowa zaledwie w osiem koni...

Jest mi smutno. Szaro. Słońce nie ma blasku. O, sole mio!...

Lada dzień zwiną cztery jarmarczne budy na Błoniach...  
I tak skończą się „Dni Krakowa“!...



# SZTORM ORTOGRAFICZNY\*



Dostałem z Francji od niejakiego Józefa Kowalika ciekawy list. Oto najbardziej charakterystyczny passus:

Chciałem, żeby się dziecko chociaż podpisać po polsku umiało, ale o szkołę polską było tu bardzo trudno, a dzieci wszystkie już i mówią coraz bardziej po francusku. Wreszcie dostaliśmy szkołę. Moja najstarsza już się zaczęła podpisywać „Marja Kowalikówna“, cóż kiedy teraz od września powiada nowa nauczycielka, że „Marja“ to jest źle, ino trzeba się podpisywać „Maria“. Albo „Maryja“. Więc już dziecko nie wie, czego od niej chcą. Raz Marja, raz Maria, raz Maryja. A po francusku ciągle tak samo „Marie“...

Tydzień temu w dyskretnych, łagodnych, ciepła niepozbawionych słowach zahaczyłem o katastrofę ortogra-

\* W felietonie tym nie uwzględniono nowej pisowni.

ficzną, podnosząc do wyżyn symbolu fakt, że w kraju notorycznych analfabetów za jedno z najpilniejszych zadań uznano radykalne przeszkolenie tych wszystkich, którzy pisali dotychczas jako tako. Temat właściwie nieznośny, toteż unikałem go dość długo, nie chcąc babrać się w nonsensach nowych a zawiłych reguł. Niestety, wrócić mi doń wypada, traktując sprawę poważnie z handlowego stanowiska. No, i trochę ze społecznego.

Nowy ukaz ortograficzny doprowadził do furji cały kraj, nie zadowolili zaś nikogo prócz osób bezpośrednio zainteresowanych, czyli jakby akcjonariuszów pisowni. Odkują się autorzy i wydawcy tych podręczników ortograficznych, odkują się za wszystkie czasy! Dopust Boży! Co gorsza, od pewnego poważnego nakładcy dowiedziałem się ostatnio, że przewidywane są jakieś drobne zmiany, poprawki, jakaś nowela do scaleniowej ustawy ortograficznej. Zmiany te i warjanty mają pojawić się w następnych wydaniach. Czyli, że to jeszcze nie koniec! Czeka nas nowa serja, nowy potop słowników, samouczków ortograficznych, poradników itd. Doprawdy, sztorm nad polską mową! Chyba już czas najwyższy, aby zbudować jakąś zapórę i do jednego koryta (och, jakże to słowo jest plastyczne!) sprowadzić zalew tej „literatury“. A może, może byłby czas jeszcze, aby zawrócić z drogi? Ostatecznie, reformę rolną (świeć, Panie, nad jej duszą!) uchwalono bardzo, bardzo dawno temu i jakoś w życie nie weszła, nad unifikacją ustaw pocą się prawnicy od niepamiętnych czasów, natomiast nieszczęsną reformę pisowni wprowadzono w życie z pośpiechem tak złowrogim, jakby się paliło.

Za czasów ś. p. Austriji, w roku, jeżeli się nie mylę,



1892-im wydano zreformowaną ortografię polską, która kosztowała wszystkiego dwa grajcary, czyli dwa centy, inaczej cztery halerze. Była to kwota, która stanowiła minimum, jakie bez przekleństw i obrazy boskiej inkasował szanujący się dziad pod kościołem. Cena dwóch bułek „centowych“ albo jednej „kajzerki“. Za tę sumę można było kupić dwa pudełka zapalek, albo dwa „sporty“, albo (przepraszam, że tego porównania użyję, ale człek traci zwolna cierpliwość) wstąpić do pewnej ubikacji i to już wcale nie prymitywnej, lecz wyposażonej we wszystkie szykany, jakie tylko znano u schyłku minionego stulecia.

I ta właśnie dwucentowa, a zarazem dwukartkowa reforma zawierała bez reszty wszystkie mądrości, potrzebne w szkole, w urzędzie, w redakcji. Za dwa centusie pozbywał się człowiek hurtem wszelakich wątpliwości. Wiedział, jak ma pisać, W ciągu jednego czy dwóch dni mógł opanować pisownię i miał ją już we łbie na amen. Słownik ortograficzny był rzeczą całkiem nieznaną i zbytęcną, bo tylko hebes skończony zastanawiał się i pytał, jak ma coś napisać.

Obecnie za cenę wielokrotnie, bo niekiedy aż sto dwadzieścia razy wyższą, nabywamy razem z przepisami bakcył czarnego zwątpienia, który toczy nas przy pisaniu najprostszego listu. Kupujemy zgórą dwustronicowy tom poto, aby każde prawie zdanie napawało nas goryczą. Bo też jest to nie tyle pisownia, ile kodeks karny ortograficzny! Za 2 zł. 40 gr. dowiaduję się, że:

„dwuzgłoskowe wyrazy zaczynające się od *c s z*, które by (sic! „któreby“ pisane osobno! p. a.) się przez pisanie przez *j* stały jednozglaszkowymi (ach, ten szyk wyrazów! I ten styl! p. a.), piszą się przez *yj*; są to

*cyjan*, *Syjam* i *Syjon* z pochodnymi jak *cyjanek*, *syjamski*, *syjonizm*; nie należą tu więc wyrazy dwuzgłoskowe mimo *j*, jak *sjest*, *sjenit* itp.“.

Prawdziwy specjal to zdanie! Po przeczytaniu go można zażyć *cyjanku* i uderzyć w lament *syjoński* albo też jeden brat *syjamski* może zabić drugiego, po czym oddać się *sjeście*...

Przepraszam bardzo, ale, pisząc, nie mogę myśleć równocześnie o doli danego wyrazu, o tem, że mógłby on stać się jednozgłoskowym. A zresztą, niechby i stał się! Mam zmartwienie? To mnie nic a nic nie obchodzi! Ortografia nie jest nauką ani wiedzą, jest raczej umową, konwenansem, powinna zaś być przede wszystkim (obecnie przede wszystkim!!!) funkcją mechaniczną, wolną od indukcji czy dedukcji, od przesłanek i wniosków, od spekulacji, funkcją jak najbardziej uproszczoną. Jeżeli ktoś w trakcie pisania zastanawia się nad tem, od jakiej litery zaczyna się dany wyraz dwuzgłoskowy, i musi jeszcze uważać, aby przypadkiem nie skrzywdził tegoż wyrazu, czyniąc go jednozgłoskowym, to człowiek ten automatycznie staje się analfabetą. Za jednym zamachem wrócono dwadzieścia milionów świątłych Polaków do szkoły powszechnej, dano im rysik w rękę. Panowie, Panowie, dla was to igraszka i zarobek, nam chodzi o życie!

Język nasz jest piekielnie trudny dla cudzoziemca, niemniej ostatnimi laty wzrosła liczba amatorów, którzy z wielkim nakładem dobrej woli uczyć się zaczęli. Przy pewnych uniwersytetach utworzono lektoraty i jakoś powoli, powoli język polski zdobywał grunt wśród dyplomatów, kupców, przemysłowców itd. A dzisiaj tym lekkomyślnym cudzoziemcom, którzy nauczyli się trochę

pisać, mówi nowa ortografia: „Źle! Od początku! Wszystko było do niczego!“... Także swoista propaganda dla państwa, które jeszcze nie jest „wprowadzone“! Przecież tak domagaliśmy się, aby zagranica przysyłała nam prospekty, reklamy, afisze tylko po polsku! I obecnie wszystko muszą przerabiać, podobnie jak podręczniki języka polskiego, jak samouczki i słowniki. To podrywa zaufanie i napewno wielu amatorom odechce się uczyć albo drukować prospekty polskie. Znam Anglika, który powiada: „Mam dość na pewien czas! Poczekam, aż się uspokoi ta wasza ortografia“. Nowa, totalna pisownia i jej dyktatorzy nie uwzględnili efektu, jaki to może mieć na zewnątrz, nie liczyli się z tem, że pewnych rzeczy nie wolno ryzykować, będąc na dorobku.

Najgorzej przedstawia się ta sprawa, jeśli na nią spojrzymy od strony emigracji polskiej, rozsianej po całym szerokim świecie. Zamiast ograniczyć reformę do tego, co było potrzebne istotnie, a więc rozstrzygnąć, co piszemy łącznie, a co oddzielnie (czy też „rozłącznie“... Także piękny termin!), narobiono takiego kramu. Przecież nasi emigranci są niekiedy tylko bardzo cienką nitką związani z t. zw. macierzą i nie wolno ich zniechęcać. A tu ledwo dzieci, siedzące wśród przytłaczającej większości francuskiej, angielskiej czy hiszpańskiej, nauczyły się odrobinę pisać po polsku i nagle pada komenda: „Wróć! Od dzisiaj pisze się zupełnie inaczej“! Znowuż propaganda, która odstrasza, zwłaszcza, że dzieci widzą dookoła ortografię obcą, nie zmieniającą się, taką, która nawet nie drgnęła od niepamiętnych czasów. O, w stosunku do emigracji to było bardzo niepolityczne, gorzej — był to grzech.

Ale mówmy jeszcze o literze *j*.

„Mechanicznie można powyższą zasadę ująć bardzo ogólnie i bardzo prosto: litera *j* nie może stać po żadnej innej spółgłosce prócz (przyimek „prócz“ zastosowany niewłaściwie, p. a.) *c s z*, chyba po przedrostkach *ob-*, *od-*, *nad-*, *pod-*, *przed-*, *w-*“.

„Prócz i chyba“... To się nazywa „bardzo prosto“! (Dodajmy, że właśnie po przedrostku *ob-* jest wyjątek w postaci „obiadu“, który pisze się przez *i*, natomiast „objadać“ przez *j*...).

Za ten poradnik zapłaciłem 2 zł. 40 gr. Cóż jednak począć, gdy mam wątpliwość, jak napisać drugi przypadek od Batawja. Sięgam do poradnika i czytam:

„Gdzie po *p b f* jest w mianowniku — *ia*, tam się w przypadku na — *i* pisze — *ii*“.

Znowuż ten niedbały szyk („tam się w przypadku na — *i* pisze“), znowuż ten brak precyzji (*p* idzie przed *b*), ale mniejsza! Pal ich sześć! Idzie o to, że mamy pamiętać te trzy litery i jaki był mianownik. Przecież myśmy to już umieli, przecież te sprawy zdążyły się uleżeć w głowie, zmechanizować, a teraz wszystko przewrócono do góry nogami. Albo w jakim celu, po kiego djabła wprowadzono tak subtelne różnice, jak np. *tej* i *tych arii*, *tej* i *tych komedii*, ale *tej* i *tych sesji*? Komu to wadziło? Dlaczego „czytałbym“ pisze się razem, a „można by“ osobno? I tu trzeba było robić rewolucję?

Pobieżnie przerzucając tę prawdziwie klinową piśmownię, dochodzimy do jądra, do rzeczy, która najwięcej narobiła złej krwi, a więc do narzędników i miejscowników. To już otchłań niekonsekwencji albo, albo... zaczyn przyszłych, poprawionych wydań. Weźmy pierwszy lepszy

wypadek. Więc dawniej pisaliśmy poprawnie tak: „Wtem westchnął, poczem opowiadał o tem pięknem Zakopanem“. Dzisiaj — poprawnie — musimy pisać tak: „Wtem westchnął, po czym opowiadał o tym pięknym Zakopanem“. W jednym zdaniu aż tyle wyjątków od reguły! „Wtem“ ale „po czym“ — „pięknym“ ale „Zakopanem“! I „potem“ pisze się razem, „po czym“ osobno! Jedno przez „e“, drugie przez „y“! Żeby było trudniej... Brawo, brawo, Panowie! I to są rezultaty obrad, o których z właściwą sobie skromnością pisze autor podręcznika i zarazem przewodniczący komisji, „nie było jeszcze w Polsce tak gruntownego i pełnego rozpatrzenia wszystkich zagadnień ortograficznych, jak to właśnie“...

Kiedyindziej pisałem (pisali zresztą o tem wszyscy), jak przez niepotrzebne „zglajchszaltowanie“ narzędników i miejscowników język polski stracił na jasności i precyzji, jak — wreszcie — zordynarniał, zchamiał. O tem jednak szkoda gadać, ponieważ na upór niema lekarstwa. Dziś inne strony problemu ortograficznego są bardziej aktualne. Po Krakowie kursuje zgórą dziesięć typów zreformowanych ortografij, w Polsce wyszło pono kilkadziesiąt broszur i niezliczone mnóstwo miniaturowych poradników. Są drogie, są i tańsze, niekiedy można je kupić za jedne 50 gr. Idą jak woda. Ludzie kupują, bo muszą. Kupuje nauczyciel, urzędnik, sędzia, pisarz gminny, posterunkowy P. P. Czy ten ostatni, czy wogóle ktokolwiek zyska coś, czytając o formach enklitycznych, o fleksji, o konjugacyjnych wahaniach spółgłoskowych itp., wątpić należy. Ludziom robi się kasza w głowie. Nabywcami są ci, którzy zasadniczo żadnych książek nie kupują. Bo ich na to nie stać, bo książka nie jest dla nich artykułem codziennej potrzeby. Czy kupiwszy tę jedną,

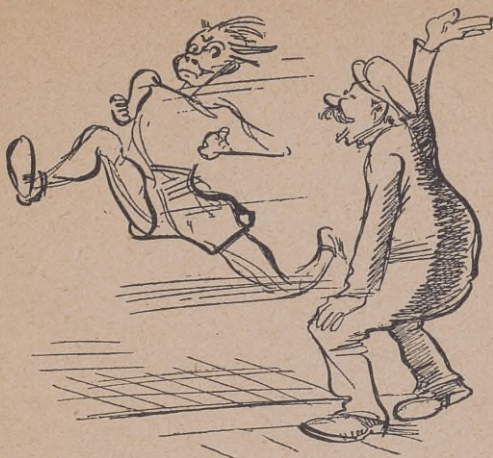
nabiorą smaku do książek? Nie, chyba znienawidzą książkę wogóle.

I jeszcze jeden szczegół nieobojętny: pisownia, narzędzie tortur, źródło udreki, stała się również bronią i to niebezpieczną, stała się instrumentem szykan. Czasy są takie, że każdy urzędnik, każda nauczycielka siedzi na posadzie, jak mysz pod miotłą, obawiając się złego humoru zwierzchnika. Pisze mi więc pewna nauczycielka, „relegowana“ karnie na prowincję, że list, wysłany do bezpośredniej władzy, zwrócono jej z dopiskiem: „Pani jest magistrem filozofji, a nie umie pani pisać po polsku“. I jakaś tam głupia pomyłka może jej zaszkodzić w staraniach o etat! Jest zaś rzeczą stwierdzoną, że gramatyki wyuczy się byle kujon, podczas gdy człowiek inteligentny zryje łatwo z jakichś tam form enklitycznych czy fleksji...

Ach, jakiegoż bigosu narobiło to „gruntowne i pełne rozpatrzenie wszystkich zagadnień ortograficznych“! Rozpatrzenie, „jakiego nie było jeszcze w Polsce“...

A możeby się jeszcze dało jakimś klinem wybić to pismo klinowe?

# O V O M A L T I N A ?



— Niech mi pan odpowie szczerze na jedno pytanie — mówię do szybko nogiego Kazimierza Fiałki, — czy pan pije Ovomaltinę?

— Panie prezesie, ja robię w Ovomaltinie!

— Jak to?

— Przecie ja tam jezdem woźnym! Bardzo porządna firma i dyrektor rozumie się na sporcie...

Teraz dopiero jestem na dobre zdezorientowany i nie wiem, co w rzeczy samej dodało skrzydeł p. Kazimierzowi Fiałce, który na berlińskim asfalcie niedawno zdobył wieniec laurowy dla siebie, klubowi macierzystemu, tj. „Cracovii“, w sam przeddzień jej jubileuszu chwały nieśmiertelnej przysporzył, a Polskę wślawił szeroko, zwyciężając Niemców, Angliczan, Łotyszów, „braci“ Czechów i inne narodowości w biegu na dwadzieścia pięć kilometrów. Czy zdziałała to życiodajna, cudotwórcza Ovomaltina, czy młodość, czy też zachęta ze strony berlińskich rodaków?

W każdym razie nie wchodzi tu w grę oficjalna propaganda polska, o której nieprawdopodobnych kawałach triumfator nasz mówi tak niechętnie, że doić musiałem zeń bliższe szczegóły tej karygodnej, skandalicznej fuzjerki. Zapomniał już i przebaczył. Skromny człek, cichy, zadowolony, szczęśliwy i na wszystko z prawdziwie olimpijskim spokojem patrzący.

Zaprosiłem go na wywiad, przybył tedy, kumeta zakurzył i prawić począł o swoim zwycięstwie w języku, który jest mi bliski i dobrze znany, jako że młodość spędziłem na Półwsiu Zwierzynieckim i akcent nadwiślański kołysał mnie w dzieciństwie sielskim a galarowym zarazem. Cudowna mowa, którą spotkać można tylko w okolicach mostu dębnickiego w Krakowie, albo u niektórych profesorów uniwersytetu-polonistów! To „jezdem“, to „mni więcy“, to „pójdom swojom drogom“, te słowa soczyste i plastyczne, które zdobią szarą, powszednią prozę głównie za pomocą epitetów z dziedziny anatomii porównawczej.

Kusiło mnie coś przez chwilę, aby naśladować pyszną powieść p. Kędziory, kropnąć cały felieton gwarą krakowską i dać mu tytuł „Ovo...marcyňa“. Albo ze względu na ściśle sportowy temat „Ovo...martyna“. Dam jednak spokój, choć podczas wywiadu porwał mnie akcent rozmówcy i samorzutnie wywołał na wargi me kilka grubszych, właśnie „anatomicznych“ wyrażań, tak że o pół długości prześcignąłem p. Fiałkę w śpiewnej mowie Grzegórzek, Zakrzówka, Krowodrzy, Zwierzyńca. (Same te nazwy brzęczą jak majcher ostrzony o kamień). Sumienie każe mi zaznaczyć, że szczyptę goryczy dosypałem do wywiadu hojną dłonią na własny rachunek, niechże więc ona nie obciąża conta p. Fiałki w ambasadach na-



szych w Londynie, Paryżu, Tokio, Kalkucie, Buenos Aires i w innych miastach, do których „rychtuje się” nasz rekordzista, a na których bruku nowe laury dla niego i dla Cracovii już rosną. Po gratulacjach, po uścisku dłoni zacząłem śledztwo w te słowa:

— Po niemiecku pan umie?

— Ani be, ani me! Skondże bym umiał, panie prezesie?

— A na peronie, jak pan przyjechał do Berlina, to nie było nikogusieńko z konsulatu?

— Psa z kulawom nogom, choć list z klubu przyszedł na czas.

— Psiakrew! Co jeich tam sport obchodzi!

— E, oni sport majom w .....

— W ....! — zlokalizowałem natychmiast. — Zresztą, jak Boy-Żeleński przyjechał do Paryża na rocznicę molierowską i pińdziesiont tomów tłumaczonych przydźwigoł, to go na dworcu ino pakier przywitował, a w ambasadzie nawet nie wiedzieli, co to za gość...

— Ja też pirsze słysze. No, ale może on kapował trochę po francusku?

— Troche...

— A na ile metrów on leciał, ten Boy?

— O, to długodystansowiec!

— I w formie przyszedł do mety?

— W formie... wierszowanej. Przed wszystkimi innymi narodami. No, o tym też żaden Metternich jeden z drugim, żaden dyplomatoł nie słyszał!

— Tak jak o mnie!

— Jakże pan przyszedł do mety?

— Lekuško, anim nie czuł. A zaraz sanitety walom z marami, bo myśleli, że na trupa przyńde. Ha, ha!

— Dwadzieścia pińć kilometrów, to nie bagatela!

— E, dla mnie to .....

Sam podsunałem mu stosowne porównanie z bogatego zasobu leksykalnego, jaki przyswoiłem sobie za młodu. I teraz patrzę na trzydziestoletniego lekkoatletę, aby odtworzyć sobie jego przeżycia berlińskie, przy czym nie haftuję wcale, bo w rzeczywistości było tak, jak piszę.

— Wienc po porzondku! Na peronie nikogo. Wzion zatem p. Kaźmirz swe graty w garść, a choć po niemiecku nie umi, dogodoł sie na migi z szoferem i ni majonc złamanego feniga, pojechał do konsulatu. Na kryde. Tam pożyczyl sie piniendzy od woźnego, zapłacił tak-sówke, jeszcze od tegoż kolegi po fachu (jeden robi w konsulacie, a drugi w Ovomaltinie) dobrał dwie marki, żeby śniadania na borg nie jeść. Wcion pare kromek boskiego z margarynom, popił lurom z fusami p. Kaźmirz i rzek sobie: „Klawo jest! Trza wygrać ten bieg!“.

Spore miasto ten Berlin! Ale smutne, bo nima gemby do kogo otworzyć. Auta śmigajom po wypucowanych na glanc ulicach, ludzi tłumy we wte i we wte strone, a on jest sam, jak ten palec Opatrzności, sam jak ten kolek w płocie. Niby „Cracovia“ nie puściła go tak na wariata, bo list wysłała przodem, ale któż mógł wiedzieć, że w konsulacie listu nie otworzom albo cisnom do kosza. No, na szczęście, późni Nemcy sie chłopokiem z Krakowa zaopiekowali, bo swoi czasu i zdrowia na takie rzeczy ni majom.

A niech jeich tam! Jeszcze mu te frajery w Warszawie zabroniły biegać w polskich barwach, żeby w razie, jak spuchnie, Polsce wstydu nie przyniósł. Taka to zachęta!... Wszyscy inni z całego świata w swoich kolo-

rach stanęli, a jemu nie wolno. Ale nie spieszył się bidok i w jeden koszuli klubowy wystartował.

Na starcie każdy zawodnik ma swojaków z konsulatu albo z ambasady, czy to Anglik czy Łotysz czy inszej narodowości. Tylko ten Polak sirota sam, samiuteńki... Jeim tam na Kurfürstenstrasse sport nie w głowie! Zrywa się wienc do biegu p. Kaźmirz, a tu-ci upoł sakramencki, aż mientki asfalt parzy. Ale on idzie tak, że odsadził się zaraz i nikt mu po pientach nie tarasił. Już od półmetka odstawił tego olimpijczyka, choroba go wi, jak sie nazywa ten Anglik, zdaje sie, Sullivan. Spuchli po drodze na amen Niemcy, Łotysze, Czesi i ile tam tyj gawiedzi ze świata całego było, a nasz Fiałka w koszulce „Cracovii“ gna pirszy. Ino mu troche markotno, że jest taki sam... Ale na rogu jakisi ulicy usłyszał krzyk:

— Te, Fiałka, nie dej sie! Bier go!

— Polok, bier tego s...! Uwożoj, bo ci już siedzi na karku!

Obejrzał sie Fiałka za siebie i od krzyku zaroz mu sie lżyj zrobiło. Bo wreszcie słowo po polsku usłyszoł. Jacysi pewnie robociarze polscy. Oni wiedzom, że Polak biegnie tego dnia w biegu „Quer durch Berlin“. Staneli wienc kupkami, rozstawili się wzduż trasy i drom sie, jakby ich kto ze skóry obdziroł. Wzion te krzyki we własnom, szerokom deke p. Kaźmirz i pognał. A coraz więcej Polaków od półmetka i wrzeszczom jak waryjaty:

— Fiałka! Kazeek, uwożoj, bo cie bierze ten skieł!...

A w naszym ambasadzie pewnie o ty porze jakisi traktaty podpisujom! Nawet ty święty niedzieli nie przepuszczom, nie ustajom w robocie, aż sie jeim palom w rence te przymierza, te pakty o nieagresji. Oni sie też ścigajom po swojemu, quer durch die Welt...

Dwajścipięć kilometrów, to kumet drogi! Ale Fiałka smaruje i teraz już nie sami Polacy, ino Szwaby także zaczynajom krzyczeć „Krakau! Bravo Krakau!“. Bo nie wiem, że on przecie Polak, skoro mu Warszawa nie pozwoliła na polskom koszulkę! Żeby nie skompromitował... Jednak któryś tam Niemiec skapował, że Krakau w Polsce leży i na złość polskim, stołecznym władzom sportowym, udarł sie „Pole, Pole bravo!“. Tak więc już przy krzykach całego tłumu przerwał pan Kaźmirz tom szerokom dękom taśme na mecie, a tamte inne patałachy o osimset metrów za nim z wywalonym ozorem. Tak mu to poszło jak chleb z masłem. „Es lebe! Es lebe! Polen hoch!“.

I teraz dopiro szopa, bo majom fane biało-czerwonom podnosić, muzyka-ci już sie do „Jeszcze Polska“ dobira, a tu nikogo z naszy ambasady, tylko jeden urzendentnik z konsulatu przywalił sie. Zresztom tak nieoficjalnie. Głupio sie wszystkim zrobiło i dopiero Łotysze sami, z własnej woli zaofiarowali sie telefonować do naszych panów, żeby sie przecie który zlitował i przyłoz bodaj w meloniku, a posłuchał hymnu, granego w berlińskim Poststadionie. Ale za późno jeich z betów wyciongać, a przydałby sie od bidy bodaj jeden taki frajer, jedna ofiara w cylindrze, jeden bubek w monoklu. Na brydża by śpieszył sie, a tu nie! Za to oficerowie niemieccy przemowe walom jak sie patrzy, a nikt im odpowiedzieć nie może. Tyle tylko, że sie p. Kaźmirz z nimi stuknął winem, którego kupę wychlapano przy tej okazji. Strasznie go fetowali.

Wienc sie przy tym hymnie polskim obeszło bez asysty, bo i tak wszyscy stali na baczność. Za to przy angielskim znaleźli się jacysi lordowie. Dla trzeciego

zwycięzcy zagrano hymn łotewski i znowuż ten biegacz z Rygi miał przy sobie swojaków. Tylko naszych brakowało.

A następnego dnia to był 3 Maj, święto narodowe, które w salonach ambasady gromadzi „całą“ Polonię berlińską, tę lepiej ubraną... We wszystkich gazetach, we wszystkich berlińskich „Tempach Dnia“ były na pierwszej stronie fotografie polskiego zwycięzcy, ale jakoś nasi referenci prasowi przeoczyli to i p. Fiałki nikt do ambasady nie zaprosił... Po co? Przede wszystkim nie umie po francusku, a zresztą pił już wino... z niemieckimi oficerami.

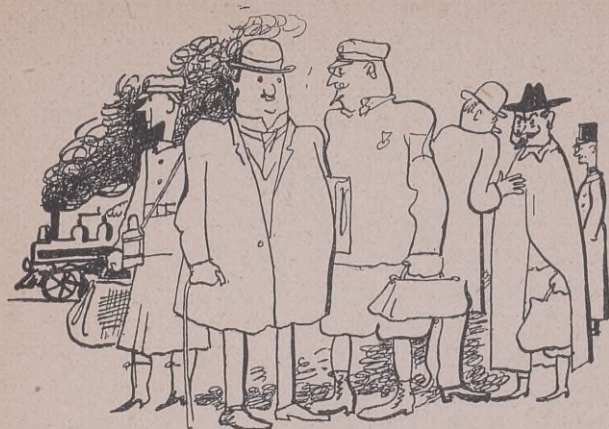
Pewnie! Ci panowie z ambasady berlińskiej czy konsulatu, to raczej wyjątek nie reguła. I coraz mniej takich paskudnych gaff popelnia nasza propaganda. Nie wiem, jak opiekowali się naszymi zwycięskimi bokserami w Mediolanie, ale byłoby dobrze, gdyby casus p. Fiałki zakończył serię niedoleństw, pomyłek i fuszerek. Bo wyobrazić sobie można, jak tacy np. Czesi potrafiliby rozdać w Berlinie wspaniałe zwycięstwo swego rodaka!

I gdy zastanawiam się nad tym, co dodało skrzydeł p. Kazimierzowi, wydaje mi się, że nie młodość, ponieważ ten lekkoatleta ma lat trzydzieści. Może więc zbawcza Ovomaltina, w której robi p. Fiałka, a może krzyk polskiego robociarza w Berlinie, krzyk spod serca „Te, Polok, nie dej sie! Bier go!“.

A co się tyczy Ovomaltiny, którą mimochodem reklamuję, to grosza od niej nie wzięłem i nie wezmę, nawet, żeby mi na siłę wtykali. Chyba, że sami coś kapną na bursę ks. Kuznowicza albo na schronisko bezdomnych chłopców Y. M. C. A. Inaczej nie byłoby sprawiedliwości na świecie!



# P O D S Z E W K A



Śmiech błądzi mi po wargach, ale równocześnie na sercu robi się jakoś miękko, niewyraźnie, gdy dawne wspominałm dzieje, gdy patrzę na wyblakłą fotografię, której nie chcę dołączyć do niniejszego felietonu. Przedstawia mnie z wężami! I z... — risum teneatis! — z szablą! Och, jak to już dawno! Dziś mamy listopad 1936, czyli, że stać nas na to, aby pewnym rzeczom przyjrzeć się z profilu, a może nawet i od strony odwrotnej, nie popelniając przy tym bynajmniej herezji czy nietaktu.

Temu lat dwadzieścia dwa... Tak, to było, o ile się nie mylę, piątego listopada 1914. Otóż, na krakowskim dworcu towarowym stał pociąg dziwny, a zarazem komiczny trochę i w pewnym sensie popularny. Długi, pół wojskowy, pół cywilny, wypakowany po brzegi, pękający od nadmiaru przeróżnych gratów, bogaty i dziadowski zarazem, w miarę bohaterski, a jednak wszelkiego dekerstwa pełen, słowem, bardzo, bardzo rozmaity. Oficerowie i ludzkość, czyli „Offiziere und Mannschaft“, jak mówił pierwszy manifest c. k. Komendy Legionów.

Obywatele, dzwoniący ostrogami a zdobni w czerwone i zielone sznurki, energiczne obywatelki na poły w mundur odziane, nieprzeliczone mnóstwo ordynansów, sporo mniejszości o bujnych pseudonimach, zaczerpniętych śmiało z Sienkiewicza albo z botaniki (Podbipięty i Kaliny, Kmicice i Szaroty), literaty, polityki zawodowe, profesory, kilku aktorów (w czym wyżej wspomniani), komendanci etapu, placu, poczty, kancelaria wojskowa, z dziesięć przeróżnych referatów, intendentura, kuchnia, szwalnia, biuro prasowe, młode byki i ludzie chromi, z żylakami, rupturami, gracje z Ligi Kobiet i niewiasty w leciech posunięte, a jednak energią o wysokim napięciu naładowane, komendantki, osoby ofiarne i pospolite plotkary — w sumie, jak mówili patrzący na to z politowaniem oficerowie austriaccy, tzw. „Zivilbagage“ inaczej Departament Wojskowy N. K. N., po niemiecku „die Militärsektion des Obersten Polnischen Nationalkomitees“.

Departament uwoził lary i dosłownie piernaty na zachód, mianowicie do Jabłonkowa, pociąg jednak ruszyć nie mógł, ciągle bowiem stały na drodze jakieś przeszkody, podczas zaś oczekiwania na sygnał odjazdu przybywały coraz to nowe i nowe formacje, referaty, biura i inne władze niespolone, ładując się do wagonów na przekór prawu o nieprzenikliwości ciał fizycznych. Wreszcie późnym wieczorem pociąg widmo N. K. N-owe ruszył na Oświęcim, Bogumin, Cieszyn, aby rozsypać pasażerów po Jabłonkowach, Trzyńcach, Łyżbicach, Wędryniach i innych miejscowościach, dzisiaj „czeskich“, wtedy zaś za najodpowiedniejsze na pobyt Departamentu przez władze austriackie uznanych. Tak zaczęła się długa krucjata departamentowa.



Wśród pasażerów tego pociągu było co najmniej dwudziestu przyszlých ministrów Rzeczypospolitej Polskiej, i to ministrów recydywistów nawet wielokrotnych, ba, premierów, którzy w niedalekiej stosunkowo przyszłości mieli nie gardzić żadną teką, marszałkostwem sejmu, województwem itd., itd. Jechali więc tym pociągiem ku Sławie! Hej!... W nieznanie i ze zniżką.

Inaczej też być nie mogło, skoro c. k. komendantem krakowskiego „Bahnhofu“ był również przyszły minister oświaty polskiej, skoro gdzieś w zaciszach jakiegoś „Sanitätsabteilungu“ tegoż „foksalu“ tłumaczył Paskala i Monteskiusza „k. u. k. Oberarzt“ Boy-Żeleński...

Dziś po dwudziestu dwóch latach stanął mi w pamięci „Bahnhof“ i pociąg-widmo jako żywe. Z lokomotywy bucha para, w której kłębach widzę dalsze etapy, więc po Jabłonkowie Sławków, następnie Piotrków Trybunalski, przez Austriaków „Petrikau'em“ ochrzczony, i na końcu, na końcu Warszawa.

Ujrzałem i siebie samego: blady, wysmukły o wszelkich znamionach *tbc* młodzieniec z przyciężką szablą, nawet nie komendant, ale zastępca komendanta — pozał się Boże — poczty. I tu tłumaczę się, dla przyzwoitości używając terminologii łacińsko-niemieckiej, zatem „apicitis, Krampfader, Leistenbruch infolge einer vor kurzem stattgefundenen Wurmfortsatzoperation, zum Waffendienst gänzlich unfähig“.

Inaczej uferma. Śledź pocztowo-legionowy, zatrudniony z biegiem czasu przy wydawnictwach propagandowych, czasem oficer łącznikowy przy Austriakach, tłumacz, kurier na linii Polska-Berlin, trochę poeta, trochę do wszystkiego, podporucznik od specjalnych podporuczeń, w końcu szczęśliwie internowany przez wrogich

zaborców w obozie, gdzie było dużo wilgoci i jeszcze więcej batiarów tyłowych. Po wyjściu z tegoż obozu szabłą na kołku zawiesił, nieużywaną ani razu w boju, syt chwały, nie żądny nijakiego panis bene merentium.

Cała ta przeszłość stanęła mi przed oczyma, przeczytałem bowiem tom, który w dorocznej ankiecie na temat „Jaką książkę w roku 1936 uważam za najbardziej interesującą?” powinien stanowczo przyjść pierwszy do mety, wyprzedzając o kilka długości literaturę piękną. Książka Jana Hupki „Z czasów wielkiej wojny. Pamiętniki niekombatanta“. Książka bardzo śmiała, taka, na którą mógł sobie pozwolić tylko człowiek stary i niezależny. Warto ją przeczytać właśnie w rocznicę osiemnastą jako uzupełnienie.

Jest to jakby negatyw, jakby odwrotna strona medalu niepodległości, jakby podszewka tego płaszcza chwały, którym — i słusznie — okryte są Legiony. Ani autor ani ja tym bardziej nie chciałbym urywać nawet jednej nitki z tego płaszcza! Przeciwnie, patrzę nań z czcią a może z zazdrością. Ponieważ jednak niedawno ktoś nazwał Legiony tylko wspomnieniem, przeto można zająć się tegoż wspomnienia podszewką czy też wataliną.

Legiony chętnie i stanowczo wypierają się wszelkiego pokrewieństwa z N. K. N-em, choć może to i trochę na nielojalność zakrawa. N. K. N. z pewnością nie był ojcem Legionów, nie był może i matką, ale w każdym razie pretendować może do roli niańki czy mamki. W najgorszym wypadku był pocziwą, trochę plotkarską, ale bardzo, bardzo dobrą... ciocią.

„A N. K. N. zapłaci“... Poniewierana była ta ciotka, poterana, niekiedy zaś i trochę naciągana przez pupilów. Prała, cerowała, łątała, karmiła, płaciła alimenty. Gdy

przyszło do jakże częstej kłótni w rodzinie, gdy wszystko groziło natychmiastowym rozpadnięciem się, ona godziła poważnione strony, kleiła bodaj na jakiś czas, zatykając dziury. A dziur było więcej niż w sicie!

Pozycję wybrała sobie ta ciocia nader niewygodną: stale między młotem a kowadłem. Palec chronicznie między drzwiami. Sama sklejona z elementów różnorodnych i wielokierunkowych, rozbita już w założeniu, lawirowała po bezdrożach i manowcach. Znienawidzona przez endeków, tępiona z niesłychaną zaciętością przez kler, coraz bardziej niewygodna dla socjalistów i dla Koła Polskiego, odpychana przez pierwszą Brygadę, a ledwie tolerowana przez Komendę Legionów, prześladowana przez głuptasów z cieszyńskiego „Armeeoberkommando“, a potem przez Niemców, pozbawiona gruntu na terenie Kongresówki, przecież zachowuje spokój, cierpliwość, konsekwencję aż do samego końca, do procesu w Marmaros Sziget.

Rolę ma najbardziej niewdzięczną pod słońcem. Lata od jednego cesarza do drugiego, wchodzi jakimiś sposobami do przeróżnych ministrów, namiestników, komendantów okupacji, nawiązuje stosunki z zagranicą, tworząc surogaty przyszłych ambasad w Genewie, Sztokholmie, Bukareszcie itd., urabia grunt. Przede wszystkim dba o rezonans czynu Legionów, jest jego rozgłośnią. Nadto łązi po szpitalach, stara się o zabezpieczenie praw inwalidów i rodzin po poległych, — jednym słowem — myśli o rzeczach najmniej efektownych, niewdzięcznych a koniecznych, rozszerzając agendy, wtrąca się do spraw okupowanego Królestwa, broni mienia ludności przed durnymi okupantami, tworzy niby namiastkę rządu, werbuje, propaguje, cokolwiek zaś zrobi, ludzie gadają, że jest to chybione a w najlepszym wypadku niepotrzebne.

O tych to sprawach, dzień po dniu, godzina niemal za godziną, mówi pamiętnik Hupki. Bez retuszu, bez upiększeń, obiektywnie, surowo niekiedy i po prostu. Przede wszystkim odważnie. Jeździmy z nim po całej Polsce, po etapach, po urzędach, po zgłiszczach.

Nie historia bynajmniej tylko pamiętnik. Ale pamiętnik niezbędny. Bez tego negatywu historia Legionów czy bodaj ich anegdota byłaby niekompletna, jednostronna, li tylko bohaterska. Z Hupką wchodzimy niejako przez tylne schody, od kuchni. Czujemy zapach tego garusu legionowego, jaki się tam pichci, widzimy pranie bielizny i pieluch. Bezceremonialnie, nawet nie pukając, otwieramy drzwi do dalszych komnat wiodące, spotykamy ludzi w pantoflach. Tych ludzi, których znamy normalnie zapiętych po ostatni guzik w mundurze galowym czy polowym, w infule i z pastorałem. Dzięki książce Hupki oglądamy ich w negliżu, niekiedy przejrzyście gołych.

To właśnie stwarza atmosferę, dodaje koloru lokalnego i indywidualnego, zwłaszcza, że dr Hupka był podczas wojny dosłownie wszędobylskim, nie omijając żadnego odcinka. Jego charakterystyka przeróżnych mężów stanu odznacza się niebywałą siłą wyrazu, czasem i pikanterią. W tomie, liczącym cztery i pół setki stron, mamy galerię portretów i karykatur zarazem przebogatą, obejmującą prawie wszystkie późniejsze gabinety, sejmy, ambasady, Brześć. Nadto, widzimy w stanie jeszcze niemowlęcym biurokrację dzisiejszą, zarodki przyszłych konfliktów mniejszościowych, zaognienie czesko-polskie itd., itd. To *silva rerum*!

Pisał ten pamiętnik konserwatysta, mający poczucie rzeczywistości i prawa, przy tym człowiek, który nie spuszcza z oka interesów klasy, do jakiej przynależy.

Nie zmniejsza to ani trochę wartości wspomnień, na wskroś przepojonych troską o całość zagadnienia. Ten konserwatyista jest dobrym gospodarzem, przede wszystkim jednak dobrym Polakiem.

„Strzępy“ niekombatanta są lekturą wręcz rewelacyjną, choć dla wielu, wielu żyjących nieprzyjemną, bezkompromisową. Powtarzam — książkę taką mógł puścić w świat jedynie człowiek stary, patrzący spokojnie na rzeczy minione, a przecież tak jeszcze żywe, gorące i zła-pane dosłownie *in flagranti*.

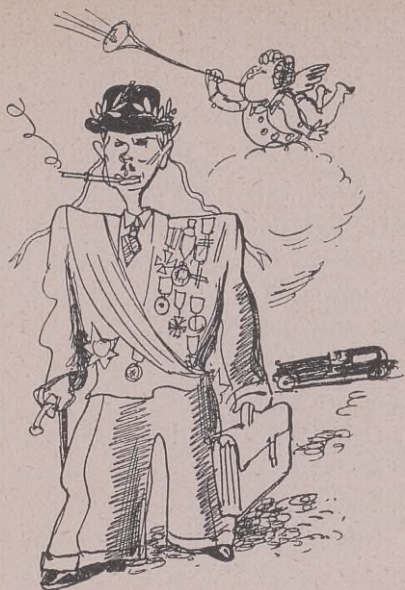
Książka ta pośrednio godzi w monopol niepodległościowy, w historię, która mówi „Było tylko tak!“, podczas gdy sędziwy autor wspomnień powiada: „Było także inaczej! Było rozmaicie!“...

I może w tym „Było także inaczej!“ dopatrywać się można pozagrobowego zwycięstwa „des Obersten Polnischen Nationalkomitees“...

A N. K. N. zapłaci!



# POZA MONOPOLEM



Temu lat trzydzieści sześć, dnia dwudziestego maja, w niewielkim i wtedy mało komu znanym wielkopolskim miasteczku powstał bunt, rewolucja dzieci szkolnych: nie chciały wziąć do ręki niemieckiego katechizmu, nie chciały pieśni śpiewać niemieckich. Oświadczyły, że są Polakami!

Gdy prośby i groźby nie pomogły, gdy kuszące namowy skutku nie odniosły, nauczyciele pruscy wzięli się do różeg, do trzciny. Popłynęła krew tych dzieci. Zbito je nieludzko, skatowano, a dzieci nie uległy, okazując przedziwny hart ducha. Nauczyciele z batem w rękę natrafili na opór nie do przewyciężenia. Dzieci nie ustąpiły ani na krok. Są Polakami i Polakami pozostaną! Tylko po polsku będą się modliły! Mogą je bić, katować

nauczyciele, ale one nie poddadzą się! Więc oprócz okrutnej, krwawej chłosty, przyszły jeszcze inne kary. Działo się to we Wrześni.

Wiadomość o tym przeszła przez całą Polskę jak płomień i obiegła cały świat. Nazwa miasteczka stała się głośna i znana wszystkim. Zakipiało w Polsce i za granicą! A bohaterskie dzieci były na ustach wszystkich, znalazły przyjaciela i opiekuna w każdym Polaku.

Pamiętam, „zaborcza“ szkoła galicyjska wybuchnęła gniewem przeciw pruskiemu barbarzyństwu. Popłynęły nie tylko lzy, ale protesty, zbiorowe adresy, składki. Serdeczna troska o dalszy los tych dzieci, powszechna miłość otoczyła je, stały się dla całej Polski bliskie, rodzinne.

W pierwszym szeregu protestów kroczyła literatura. Sienkiewicz, Konopnicka, Rydel i dziesiątki innych. Dzieci wrześnińskie znalazły się na kartach wszystkich dzienników, w książkach polskich, na scenach. Słowo „Września“, głośne, oblane krwawą barwą, szumiało, kipiało.

Jedna z małych buntowniczek, Bronia Śmidowiczówna (dziś p. Matuszewska), dostała od Sienkiewicza „Trylogię“ z dedykacją, do innej, mianowicie do dzisiejszej p. Stankowskiej, pisał Rydel. O tych małych bohaterach opowiadał nam w szkole nauczyciel, znaliśmy ich wszystkich z nazwiska i imienia, kartki z ich fotografiami sprzedawano w całej Galicji. Nie było dziecka kilkoletniego, które by na zapytanie, co to jest Września, odpowiedzieć nie umiało.

Część uczestników tego buntu żyje do dziś dnia. Minęło lat trzydzieści sześć i... Nie, o tym nie da się pisać spokojnie, na zimno. Gorzkie słowa same pchają się



pod pióro. Wstyd, ciężki wstyd ogarnia na samą myśl, że o tych właśnie dzieciach wrzesińskich, a dziś ludziach dorosłych, nawet w lata posuniętych, zapomnieliśmy tak łatwo, że nie znalazł się nikt, kto by pamiętał! Haniebne, doprawdy!

Wspomniałem o Sienkiewiczu, o Konopnickiej itd., nie mając zresztą pretensji do dzisiejszych „szczytów” naszej literatury. Trudno od tych wyorderowanych, wyfraczonych panów z PAL-u wymagać już nie jakiejś inicjatywy kierowniczej, ale bodaj szczypty zainteresowania, a zresztą te sprawy należą nie do literatury, lecz do państwa. Gdy go nie było, literatura uzurpowała sobie kompetencje wszelakich ministerstw, prowadząc zarówno polską politykę zagraniczną, jak wewnętrzną, czy kierując resortem oświaty i innymi działami, które od 1918 r. objęło państwo. I ono właśnie winno zainteresować się weteranami wrzesińskimi od strony materialnej.

O każdej, nawet mikroskopijnej zasłudze pewnej grupy pamięta się, odważa się te zasługi na najsubtelniejszej wadze, gdy zaś idzie o jakąś inną kategorię, nikt z objętych monopolem, nie uzna za stosowne posunąć się w tym wygodnym wozie akcjonariuszy niepodległości i zrobić trochę miejsca drugim, także, i ponad wszelką wątpliwość, zasłużonym. Jeśli mowa o chlebie, o panis bene merentium, to pewni ludzie dławią się nim po prostu, w niczym nieskrępowanej żarłoczności, folgując apetytowi na wszelkie posady, subwencje, koncesje itd. Natężyć tylko słuch, a usłyszymy ohydną czkawkę! Gdy czasem dzienniki doniosą o jakichś wielotysięcznych pensjach, o skumulowanych w ręku pewnych ludzi olbrzymich dochodach, zaatakowani milczą. Widać, nic nie mają na swoją obronę.

A inni? A drudzy, także zasłużeni?! O, to jest przepaść, otchłań, taka dysproporcja dwóch miar, że znowuż nie da się pisać spokojnie... I znowuż wstyd ogarnia na samą myśl! Czy wiecie, Państwo, że jedna z uczestniczek strajku wrzesińskiego jest obecnie bezrobotną!? Że nie ma co jeść!? Że żyje kątem na łasce krewnych, u których się także nie przelewa... Fakt, który łatwo stwierdzić można. Zdumiewające, prawda? Właśnie ona jest bezrobotna! Koncesje, udziały, renty, pensje, posady, to nie dla tych bojowników niepodległości. Wszystko zagarnęli inni, biorąc niekiedy więcej, niż się dało.

Idźmy dalej! Czy wiecie, Państwo, że pewien uczestnik buntu wrzesińskiego umarł w skrajnej nędzy? Nazwisko? Biały. Zostało po nim dziecko, sierota, która żyje na łaskawym chlebie u biednych krewniaków. Siedemnastoletnia dziewczyna, gruźlicą zagrożona... Ciekawa rzecz, w roku 1901 inicjatywa prywatna potrafiła więcej zdziałać, aniżeli dzisiaj państwo: znalazła się zaraz generałowa Zamoyska, która jednej z dziewcząt wrzesińskich natychmiast ofiarowała bezpłatnie trzechletni pobyt w Zakładzie Kuźnickim pod Zakopanem. Nie tylko pobyt, ale serdeczną opiekę.

Dzisiaj, jeżeli się nie mylę, olbrzymi majątek i wszelkie fundacje po Zamoyskich i Działyńskich, więc pewnie i Zakład Kuźnicki, objęło państwo. Słyszeliśmy przecież o gospodarce w tych fundacjach. Znowuż musimy zdziwić się na myśl, że dla sieroty po uczestniku wrzesińskiej rewolucji nie znaleziono miejsca w jakimś sanatorium. No, Września już nieaktualna!

To były dwa przykłady, a jest ich znacznie więcej. Np. inny uczestnik rewolucji szkolnej — pewnie nie tak barwnej jak np. ta z 1905 r., ale przecież rewolucji — żyje

z pensji, wynoszącej miesięcznie dziewięćdziesiąt złotych. Pan Bóg mu pobłogosławił, bo ma dziewięcioro dzieci. I znowuż dla niego zabrakło koncesji czy udziału w jakiejś rozlewni czy hurtowni. On jest poza monopolem, równie jak reszta uczestników czy uczestniczek Wrześni. A żyje ich, jak wspomniałem, kilkanaścioro. Radzą sobie, jak mogą.

Właściwie w świetle tych faktów wyłania się myśl, że z pewnych spraw zrobiono jedną wielką hurtownię czy też rozlewnię. Zdumiewający kontrast! Jedni pchają się, krzyczą: „Z drogi! Miejsce dla nas! Tylko dla nas!“, podczas gdy drudzy, w pewnym sensie stanowczo nie mniej zasłużeni, żyją w biedzie, odepchnięci lub w najlepszym wypadku zapomniani. Zresztą nie idzie o samą materialną stronę zagadnienia, zwłaszcza, że może nie zostało już nic do rozdania. Bo też szafowano hojną dłońią, apetyt zaś rósł w miarę jedzenia. Ale pomijając koncesje, renty, udziały itd., musimy przypatrzeć się tej historii z innego punktu.

Są formy wynagrodzenia, które wymagają tylko pamięci, dobrej woli ludzkiej i właściwej oceny czyjejś działalności. Niedawno, przed kilku tygodniami, zmarł inny bojownik niepodległości, Drzymala, i, jak wiadomo, dopiero po śmierci przyznano mu krzyż Polski Odrodzonej. Nikt nie zdołał załatwić tej „formalności“ w ciągu długich lat, jakie upłynęły od wskrzeszenia państwa! Musiano przecież tylu innych, młodszych, ugarniować orderami, cóż dziwnego więc, że o Drzymale nikt nie pamiętał? Ta sprawa miała czas, musiała się odleżeć...

A teraz patrzę na fotografie wrzesińskich weteranów i na ich piersiach nie widzę orderowych wstążeczek... Zdaje się, znowu mamy do czynienia z tym samym,

co spowodowało, że Drzymała dostał krzyż dopiero wtedy, gdy po burzliwym a wędrownym życiu spoczął już na stałe w trumnie. A może oni, ci bohaterzy Wrześni, przecież mają ordery? Chyba nie, bo gdyby tak było, to bodaj jedno z nich dałoby zdjęcie z dekoracją. Widać, nie mają... Im dano po prostu krzyżyk na drogę. Oni to jest Polska ostatnich liter alfabetu.

Ludzie obwieszeni orderami przypominają żywo dzikusów. Naturalnie, wyjątek stanowią oficerowie, których tu w żadnym wypadku nie chcę dotknąć. Jest rzeczą i na całym świecie i u nas powszechnie znaną, że wojsko z natury rzeczy musi mieć większy przydział odznaczeń. Cywil natomiast cały we wstęgach, dźwigający ileś tam kilo komandoryj przeróżnych, jest zjawiskiem raczej komicznym.

Zresztą, bywa rozmaicie z tymi odznaczeniami: pomnę, w pewnym ciągnięciu listopadowym tej loterii figurował człowiek, o którym powszechnie mówiono, że popełnił wiele, wiele nadużyć. Cały Kraków znał te fakty i głośno było o nich. Ale to nie przeszkodziło, że człowiek ten dostał złoty krzyż zasługi... Nie wiedziała o niczym tylko władza i dowiedziała się dopiero wtedy, gdy ów biedak popełnić musiał samobójstwo. No, wypadek rzadki. Ale inne w pewnym sensie bywają jeszcze bardziej gorszące, takie, które wywołują pytanie „A za cóż temu leniowi, temu niedołądze dano order!?”

Zdaje mi się, że jeśli idzie o cywilną branżę, order spełnia swoją misję wychowawczą i moralną nie wśród elity, ale wśród warstwy, powiedzmy, średniej. Tam właśnie ma on sens, tam działa, tam promieniuje w znaczeniu dodatnim, nie wywołując uwag krytycznych i zastrzeżeń.

Pojęcie udziału w walkach o niepodległość sformułowano w sposób niezmiernie ścisły a nawet ciasny. Słusznie! Może ilość wstążeczek, jakie spotykamy co krok, budzi niekiedy zastrzeżenia, ale to do rzeczy nie należy. W każdym razie ten krzyż jest naprawdę piękny! Myśląc o rewolucji wrzesińskiej, o walce np. Drzymały z polityką pruską, sądzimy, że są to fakty, wchodzące w zakres walk o niepodległość. Niemniej w ściśle określone ramy kategorii tego krzyża nie da się ich wtłoczyć. Tym bardziej krzyż Polski Odrodzonej powinien znaleźć się na piersiach bojowników o wolność słowa polskiego i szkoły. Naturalnie, lepiej, aby władze zrobiły to możliwie przed śmiercią zasłużonych.

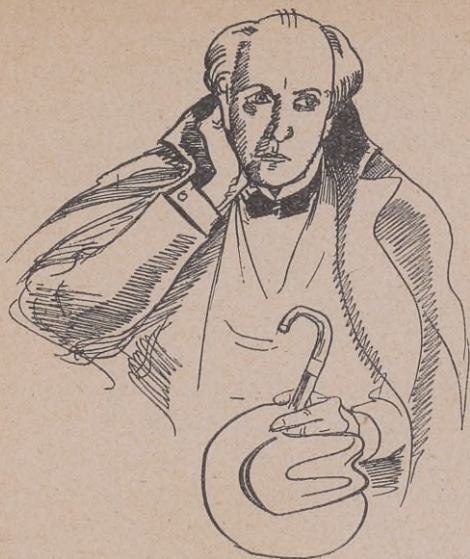
W Polsce, na przestrzeni z górą wiekowej niewoli, tak się układały stosunki, że czyny ciche pozornie i nie orężne nabrały echa i wagi dopiero później w sprawiedliwej perspektywie lat. Ostatecznie rocznicę np. odsieczy wiedeńskiej obchodzimy dosyć rzadko, równie jak rocznicę Grunwaldu. Natomiast rokrocznie dzień 3 Maja gromadzi tłumy. Doświadczenie ostatnich lat wykazuje, że święto konstytucji majowej staje się coraz bardziej popularne. Bo pewnych rzeczy na przekór wielu wysiłkom nie da się przekreślić. One wydobywają się same na powierzchnię świadomości narodowej.

Identycznie ma się rzecz z dziełami poszczególnych ludzi, choćby to były jednostki ciche, skromne i niczego dla siebie nie żądające.

Jak np. twardy chłop wielkopolski, Drzymała. Jak uczestnicy rewolucji wrzesińskiej...



# M E D Y C E U S Z



Medyceusz choćby dlatego, że z Medyki pochodził i pół tej Medyki puścił na teatr lub na sprawy podług jednych pośrednio, podług mnie bezpośrednio z teatrem związane. Przecież, jak mówi tradycja, miał w dawnej krakowskiej knajpie Aksmiana otworzyć dla braci aktor-skiej nieograniczony kredyt czy też coś w rodzaju rachunku bieżącego, tak że każdy aktor o każdej porze dnia, przede wszystkim w nocy, mógł tam wejść i zjeść, przede wszystkim popić. Czy mógł także gości wprowadzać, tego już nie wiem, ale po roku rachunek bieżący u Aksmiana wynieść miał 10 tysięcy reńskich, którą to, jak na przedwojenne czasy zawrotną kwotę pokrył dyrektor Tadeusz Pawlikowski. Dziś trudno z całą ścisłością obliczyć, co poszło wprost na teatr, a co roztopiło się po drodze w rękach przedsiębiorców gastronomicz-

nych i dostawców teatralnych. To pewna, że gdy kiedyś ktoś poderżnął Pawlikowskiego na wekslu, Pawlikowski spojrzął na udatny falsyfikat własnego autografu, bardzo pochwalił robotę i żadnych konsekwencji nie wyciągnął. Podobno raz przyszła mu fantazja skontrolować książki kasowe teatru, w których znalazł dosyć dziwną pozycję: koszt utrzymania kanarka z „Grubych ryb“ miesięcznie — 30 reńskich.

— Trzydzieści rhrheńskich? To się musiał spaść ten kanarhrhek... Pokażcież mi go! Chciałbym koniecznie zobaczyć!

— Niestety, właśnie przed godziną zdechł, panie dyrektorze! — brzmiała ponura odpowiedź.

Ale pisząc o Tadeuszu Pawlikowskim, którego wielkie nazwisko stało się ostatnio tematem żywej dyskusji, nie mam zamiaru prowadzić jakiejś podwójnej buchalterii, aby obliczyć stricte, ile wydał, ile puścił. Zresztą, w tak dziwnej instytucji jak teatr, bywa często — laik nie zrozumie tego — że właśnie pieniądź puszczoney w knajpie wyda stokrotny plon w teatrze, podczas gdy na odwrót kosztowna inwestycja wpakowana w teatr, kończy się fiaskiem takim, że dopiero po tym fiasku dyrektor idzie do knajpy, aby popić z żalu i amortyzować straty w kieliszku. Jeżeli jednak Pawlikowski trwonił pieniądze, to wyłącznie swoje i zawsze z gestem, bo wielki to był pan! Pytanie tylko, czy większy pan, czy większy artysta?

Dopuszczał mnie, smarkacza dwudziestoletniego, do konfidencji, rozprawiał ze mną i pozwalał mi na swobodną krytykę, choć był to człek o wielkiej drażliwości, chimeryczny i aczkolwiek małomówny — sławnie złośliwy. Gdy pewna, zresztą świetna aktorka zapragnęła



wzorem Sary Bernhardt czy innych wariatek wystąpić w roli męskiej i zagrać Hamleta, Pawlikowski powiada jej:

— Dobrze, ale niech pani najpierw spróbuje zagrać Brhryndusa w „Krhakowiakach i górhhalach“.

I nie dał jej tej roli, w której położyła się w kilkanaście lat później za Trzcńskiego. Ponieważ zaś sprawa obsady roli Hamleta była otwarta, zgłosił się do kancelarii młody aktor, twierdząc, że mu się dzieje w ogóle krzywda, że jest pomijany w obsadzie, że np. teraz idzie „Hamlet“, a on ma tę rolę gotową i grał ją niedawno z wielkim sukcesem.

— Gdzież pan grhhał?

— W Częstochowie, panie dyrektorze.

— W Częstochowie... No, tam się cuda dzieją...

O, straszne były te jego krótkie powiedzonka, którymi łatwo mógł zabić. Gdy mu się jakiś aktor naraził, Pawlikowski angażował go na następny sezon i to nawet z podwyżką, ale nie obsadzał wcale. Minął wrzesień, październik, listopad, i aktor nie wytknął nawet nosa na scenę. Wreszcie, zdenerwowany, z początkiem grudnia taki nieszczęśnik zapuszczał sobie wąsy, myśląc, że w ten sposób zwróci uwagę dyrektora na swój marnujący się talent. Cóż, kiedy Pawlikowski nie widział konsekwentnie ani wąsów, ani talentu, ani aktora. Po prostu trzymał i płacił. W okresie świąt Bożego Narodzenia aktor, doprowadzony do ostateczności, posuwał się jeszcze dalej i z kolei zapuszczał brodę po sam pas. I dopiero z końcem stycznia Pawlikowski dostrzegł go na korytarzu (to wszystko działo się w Krakowie), witał aktora uprzejmie, pytając:

— O, co się z panem dzieje? Co słyhać w Poznaniu? Wyrhrobił się pan? Grhha pan dużo?...

Taka była zemsta Pawlikowskiego. Sam wielu rzeczy nie widziałem na własne oczy, poznałem bowiem świętego dyrektora w ostatnich jego latach, niektóre więc szczegóły podaję tylko na podstawie tradycji. Pamiętam go w okresie, kiedy nie było już połowy latyfundiów medycznych, ale pan ciągle jeszcze był, choć starzy aktrycy mówili: „O, to już nie te czasy!“ Gdy kiedyś, zastępczo, bez próby zagrałem dużą rolę w Szekspirze, Pawlikowski wydrapał się na drugie piętro do mojej garderoby, podał mi rękę i podziękował. Ledwie się za nim drzwi zamknęły, powiada jakiś stary „Kulissenreisser“: „E, chłopie, jeszcze dziesięć lat temu, nie podałby ci ręki, tylko portfel dobrze wypchany i pozwolił wziąć, ile miałbyś ochotę! Przecie tak robił z wszystkimi, a nawet Kamińskiemu podawał portfel, mówiąc: Kamyk, prhrhoszę cię... i odwracał się, aby nie patrzeć, gdy Kamyk brał“.

Oczywiście, może w powyższej anegdocie znajdzie się spora szczypta blagi, dla mnie jednak miłszy jest ten Pawlikowski, którego miałem zaszczyt znać, niż tamten, o którym tylko mi opowiadano. Ten pracował i to już nie na swoim, lecz będąc na gaży — tamten tworzył nowy teatr nie bez magnackich gestów, dziwactw i fanaberii, a równocześnie, jak się zdaje, nie bez pewnej satysfakcji deprawował świat aktorski. Chociaż ten świat aktorski w pewnym sensie był zdeprawowany już od kolebki, stojąc o wiele, wiele niżej pod względem moralnym, społecznym, obywatelskim niż dzisiaj.

Utrwały mi się w pamięci anegdoty raczej nieprzyjemne, które mnie rażą tym bardziej, że dla Pawlikowskiego zachowałem wielki sentyment. Podobno wieczór w wieczór, gdy opuszczał kancelarię, na korytarzu, w podwójnym szpalerze stali aktorzy, czekając, kogo zaprosi

na kolację. Bywały dni, gdy znudzony odbywał przegląd tej kompanii honorowej i rzucał jedno jedyne słowo: „Zmohra, chodź!“ („Zmora“ był to Fr. Domnik-Dorowski, z którym dyrektor w bliskiej żył przyjaźni). Zwyczajnie jednak prosił wszystkich, całą bandę i dopiero w knajpie, nb. podlejszego gatunku, obrabiano z grubsza niezaprosonych. Rozmowę taką dałoby się zrekonstruować w następujący sposób:

— Wiecie państwo, że X zrobił prawdziwą niespodziankę! — zaczynał ktoś tę zbiorową recenzję.

— Obiecujący talent! Zdolny smarkacz! O, lwi pazur! Udał się nam. Będą z niego ludzie! — prawil stół cały, po czym entuzjazm stygnął zwolna w takim decrescendo:

— Zupełnie porządnie zagrał!

— I to ciekawe, że nie ma najmniejszych warunków na tę rolę!

— Ale że go puścili w tej peruce, w tej okropnej charakteryzacji...

— No, tak, wyglądał fatalnie, lecz to jeszcze głupstwo, tylko ta dykcja zachwaszczona...

— Monologu w trzecim akcie nie ugryzł, bo to trochę za ciężkie dla niego...

— W pierwszym byłby całkiem znośny, gdyby nie fakt, że czuć go prowincją na milę...

— Pod koniec zabrakło mu pary. Trudno, przecież to debiutant!

— A jednak miał pewne akcenty przekonywujące, tylko wszystko popsuł sobie tym, że się ruszać nie umie.

— I niech go Pan Bóg broni, żeby miał kiedykolwiek występować jeszcze we fraku! Wyglądał jak szewc!

— A roli to już w ząb nie umiał. Bezczelny smarkacz!

Tyle zostało z obiecującego aktora! Z kosteczkami go zjedli, do imentu, a talerz wylizali. Pawlikowski słuchał i słuchał, z zasady nic nie mówiąc, im gorzej zaś wypadła koleżeńska krytyka, tym bardziej zagadkowy uśmiech błądził po cienkich dyrektorskich wargach. A rano, do młodego, obiecującego talentu pukał garbaty kursor (w każdym szanującym się teatrze kursor powinien być garbaty), przynosząc nową, wielką rolę.

Bo Pawlikowski znał się na talentach i na psychologii. Każda jego uczta była „Ucztą szyderców“, podczas której, niczym na wyścigach, typował pewne jednostki i charaktery.

Czasami, gdy już dobrze kurzyło się z czupryn, Pawlikowski, dyrygent tej biesiady (a dyrygować umiał i to naprawdę, boć uczył się tego w Niemczech, studiując tam muzykę), zmieniał temat. Zamiast nicować nieobecnych, przystępowano do prób siły: kto kogo położy na rękę. Szczególna rzecz, drobny, filigranowy Pawlikowski po krótkim zmaganiu się zwyciężał pewnych przeciwników, odznaczających się nawet wielką siłą fizyczną. Jakże się to działo? Podobno, tak fama głosi, Pawlikowski uzbierał swą dłoń w szeleszczący banknot, przeciwnik zaś, wymacawszy od razu dwudziestokoronówkę, markował tylko opór, aby poddać się po chwili. O, Medyceusz lubił okrutnie drwić z ludzi!

Odbrażowanie, tak modne ostatnimi czasy, wydaje mi się sztuką stosunkowo łatwą, obliczoną na tani efekt, zwłaszcza gdy idzie o postacie z niezbyt odległej przeszłości. Może zresztą Pawlikowski niepotrzebnie puścił fortunę na teatr, może w jego dziele zbyt wielką rolę odgrywa kaprys, chimera, złośliwość, zachcianka, ale jedno trzeba uznać za pewnik: nie chciał zrobić fortuny na teatrze. I to wywyższa go właśnie ponad dzisiejszych ge-

szefciarzy. Kochał teatr i była to miłość niepedagogiczna wysoce, miłość kosztowna, taka, która psuje, sypie klejnotami, bez szampana obejść się nie może.

Czy znał się na teatrze? Chyba tak i to w najwyższym stopniu. Kulturą, wykształceniem, znajomością scen europejskich górował nad całym ówczesnym światem aktorskim. Od Koźmiana wyższy był, gdyż o ile tamten ograniczał się wyłącznie do teoretycznych wskazówek i nie potrafił niczego pokazać aktorowi, to Pawlikowski umiał świetnie zagrać, zwłaszcza rolę charakterystyczną, więc w „Hamlecie“ grabarza, Ozryka czy Rosenkranza. Statystował, robiąc z zapalem tłum, np. w „Igrzysku“ Staffa. Podczas jakiejś uczyty — tradycyjny karp po żydowsku w piątek przy ulicy Bożego Ciała, pamiętam — wygłosił krótką jak zawsze i jak zawsze świetną przemowę, którą zakończył wyznaniem, że gdyby nie brak warunków, gdyby nie to, że nie wymawia „r“, byłby aktorem.

W przeciwieństwie do dzisiejszego dyrektora-amatora, który często wnosi do teatru beznadziejną ignorancję już nie tylko w dziedzinie reżyserii czy rzemiosła aktorskiego, ale w dziedzinie ducha teatru, Pawlikowski miał teatr w małym palcu. Znał się na kostiumie, choć dawał się ocyganiać dostawcom, znał się na perukach, na autorach-grafomanach, wiedział, co mniemać o recenzentach, ale przede wszystkim znał się na całości. Umiał poruszyć i ożywić olbrzymi tłum statystów, postawić najmniejszą rolę komikowi i tchnąć ducha w cielsko spektaklu.

O ile mu się chciało. O ile tego dnia był w dobrym humorze. I tu zaczynają się jego nerwy. Pamiętam dni takie, gdy przychodził na próbę spóźniony, stawał w kulisie i patrzył bez ruchu, bez słowa na to, jak płatali

się aktorzy. Widać było, że jest smutny, że boli go ta sztuka. Nasuwał czarny kapelusz na czoło, podnosił kołnierz czarnej zarzutki (innych kolorów nie uznawał) i oparty na czarnej, hebanowej lasce, pogrążał się w coraz to czarniejszą zadumę. Wreszcie po godzinnej, milczącej medytacji, opuszczał teatr, pozostawiając sztukę jej czarnemu jak noc losowi. Kiedy indziej znowu zapalał się, przykładając szczególniejszą uwagę do jakiejś mikroskopijnej scenki, do jakiegoś epizodu, który pieścił i czelował tak długo, dopóki nie zrobił arcydzieła.

Jeśli w opowiadaniach o wielkości Pawlikowskiego jest rzekomo przesada, to przesada owa stanowi tylko refleks tej nie we wszystkim zasłużonej admiracji, jaka towarzyszy opowiadaniu o świetności teatru naszego z owych lat. W każdym razie podwaliny pod tę świetność rzucił on właśnie, a nie kto inny. Tworzył w czasach, gdy współczesny mu dyrektor, reżyserując jakąś sztukę, skarcił aktora, gdy tenże przy słowie „Himalaje“ podniósł rękę do góry.

— Niby po co pan wyciąga tę rękę do góry?

— No, bo... bo Himalaje, to niebotyczne szczyty, panie dyrektorze.

— Szczyty? Nic podobnego! Himalaja to jest koc! Mięka materia wełniana...

Tenże sam dyrektor w roli Pallady obsadził najtęższego chłopca z ensemble'u, przypuszczał bowiem, że Pallada to mężczyzna...

Może dlatego właśnie Pawlikowski nie był lubiany przez swych współczesnych kolegów po fachu, że wiedział, kto to była Pallada oraz Himalaje-góry odróżniał od Himalai-koca. A wiedział ci jeszcze wiele, wiele innych rzeczy...

# STAROSTA I RODZIEWICZÓWNA



Temu lat pięćdziesiąt, bo w roku 1887, ukazała się pierwsza powieść Rodziewiczówny pt. „Straszny dziadunio“, która otworzyła serię czterdziestu z górą książek, cieszących się do dziś dnia wyjątkową poczytnością. O jubileuszu głucho jakoś i cicho.

Temu lat dziesięć, do pewnego miasta powiatowego, którego nazwę zataję, przybył nowy, rzeczywiście b. zdolny i pracowity starosta i teraz właśnie, w kwietniu, „w dziesięcioletnią rocznicę władania“, wyprawiono mu wspinały jubileusz. Ach czegoż tam nie było! Np. „nabożeństwa w świątyniach wszystkich trzech wyznań“...

Żał mi serdecznie tego starosty, bo — jak mówią powszechnie — jest to w istocie wyjątkowo dzielny człowiek, zasłużony dla powiatu i w ogóle, w ogóle... Zamećją go na amen! Wysłuchać nabożeństwa w świątyniach

wszystkich trzech wyznań jednego dnia! Padam do nóg! Biedak musiał rozdrzeć się chyba na strzępy, aby duchem bodaj być obecny na tym odpuszczeniu. I jak to dobrze, iż w tym powiecie nie ma np. kalwinów, mahometan, Karaimów itd.! Będąc na miejscu starosty, zawiesiłbym sobie wykonanie jubileuszu co najmniej na piętnaście lat i wylał nieco zimnej wody na rozpalone, fanatyczną gorliwością głowy prowincjonalnych zelotów.

Jednak na obfity, przeładowany rozmaitymi numerami jak u Staniewskich, program, patrzę trochę przez łyżę: w skład komitetu wchodzi reprezentanci mniejszości, których zjednoczyła jakaś starościńska „Treuga Dei“ w dniu tym niezapomnianym i uroczystym. Jaka harmonia, jaka zgoda! Sądzę, że jeszcze powinien znaleźć się dla kompletu jakiś mniejszościowy Jankiel, który by grą na cymbałach uświetnił jubileusz w grodzie, gdzie zapewne nie braknie specjalistów od tego instrumentu.

Programem i jego detalami zajmiemy się nieco później. Na razie wracam do Rodziewiczówny. Powie ktoś, że to zapomniana autorka, że zdevaluowane jej powieści wyszły z obiegu, że ich nikt nie czyta? Gdzież tam! Samo „Dewajtis“ miało niedawno, bo w latach 1926—1931 cztery nowe nakłady. Pełno jej książek w świetlicach, bibliotekach żołnierskich, KOP'u, T. S. L. i innych. Słusznie już przed ćwierć wiekiem podniósł znakomity krytyk, Grzymała-Siedlecki, że „te właśnie potulne utwory nauczyły czytać całą warstwę ludzi, że przez popularność „Dewajtisa“ rodziło się na kresach zamiłowanie do literatury w ogóle“... A jednak, jednak o jubileuszu, o pół-wiekowej rocznicy głucho jakoś i cicho.

Oczywiście jaskrawy ten fakt nie jest bynajmniej odosobniony, skoro np. osiemdziesięcioletniemu Micha-



łowi Drzymale dopiero po śmierci przypadł order „Polonia restituta“, order, którym tak sieje się w dniu 11 Listopada i 3 Maja. Jakby komuś zależało na tym, aby staruszek nie ucieszył się orderem! Właśnie temu twardemu chłopu, który w wędrownym wozie, jak skarb bezcenny przechował kawałek Polski żywej, nie zdążono dać orderu za Jego pracowitego życia i dopiero po zgonie ktoś sobie raczył przypomnieć. Wielka rzecz i wielki wstyd!

Na tle takich i podobnych faktów korzystnie odbija miasto powiatowe, gdzie nie pięciu sprawiedliwych, ale sami sprawiedliwi mieszkają. Och, jak oni potrafią uczcić zasługę, wydoić ją do ostatniej kropelki, posmarować grubo masłem i miodem albo wazeliną kromkę tego panis bene merentium! Więc o dziewiątej rano wspomniane już nabożeństwa w świątyniach wszystkich trzech wyznań, o godzinie dziesiątej „wręczenie przez Wydział Powiatowy portretu Pana Starosty, który zawieszony zostanie w lokalu Rady Powiatowej“... Tu budzą się niejaki wątpliwości, czy pan starosta, czy portret, czy też Wydział zostanie zawieszony, mniemam jednak, iż nie byłoby od rzeczy zawiesić Wydział Powiatowy. Mianowicie w czynnościach. Na kołku.

Po zawieszeniu następuje wręczenie przez P. p. wójtów całej sterty dyplomów obywatelstwa honorowego. Widzę już tych Semenów, Hryciów, Wasylów, jak ze łzami w oczach wręczają owe dyplomy — krzyżówki, bo krzyżykiem pewnie podpisane. To scena godna Matejki albo... Wasilewskiego z „Wróbli na dachu“. Albo nieśmiertelnego Gogola. Po dyplomach następuje wręczenie uchwały pewnej gromady, która Dom Ludowy ochrzciła za życia imieniem jubilat. O, w tym miasteczku mają tempo!

Zdawałoby się, że już dość, a tymczasem cały powiat

krzyczy: „Mało! Mało!“ . Więc, według rozkładu jazdy jubileuszowej o godzinie 10,30 podążamy na ulicę Graniczną, która otrzymała nową tablicę z nazwiskiem starosty. Jestem spocony w imaginacji, krzepi mnie jednak wątpla nadzieja, że na tym komitet wyczerpie serię hołdów. Niestety, program to prawdziwy róg obfitości. O godzinie 11,30 wio, dalej! Nie pozwolili czcigodnemu jubilatowi odsapnąć ani też... Zważmy: choćby to był człowiek i najskromniejszy, takie samorzutne owacje nie są bez wpływu na pęcherz. A tu ganiają chłopą, z pochodniami, przy dźwięku wszystkich orkiestr, przy fanfarach straży pożarnej, przy dzwonach i palbie gęstej z moździerzy, w procesji, gdzie brak jeszcze dziewczątek w bieli, które by sypały kwiaty, i tak ten Fackelzug wali od kościoła do cerkwi, od cerkwi do synagogi, od synagogi do Wydziału Powiatowego, potem na ulicę ongiś Graniczną i dalej, hen, aż nad brzeg rzeki. O godzinie 11,30 jesteśmy na plaży Słonecznej, gdzie będzie odsłonięta pamiątkowa tablica z dedykacją dla jubilata... Bójcie się Boga! Zamordujecie jak nic tego pożytecznego człowieka! I nad zasługą trzeba mieć litość!

No, wreszcie, wreszcie, o 12,30 bankiet z udziałem Hryciów i Semenów. Sam na dystans podnoszę wytrawnie kielich wina marki Chateau Zaleszczyki 1937 i piję tym jednorocznikiem ad multos annos. Niech żyje! A w ogóle przenoszę się w tamte strony na stałe! To jest miasto, gdzie żyć i nie umierać! Jeszcze podczas bankietu dobijają jubilata tępym albumem pamiątkowym! Czy wieczorem puszczano spontanicznie fajerwerki, nie wiem, ale to wiem, że nawet przy dwudziesto-pięcioletnim jubileuszu „Kuryerka“ nie było takiego huku. Gdyby Orbis albo Wagons Lits Cook miał nosa,

uruchomiłby na ten festyn kilka pociągów popularnych, jak sam starosta. Pociąg-jubileusz...

Feta owego miasta wraz z dominiami zdystansowała, w kozi róg zapędziła koronację londyńską, która na pewno wypadnie blado. Właściwie brakowało tylko próby generalnej z karocą, zaprzężoną w co gorliwszych komitadzi z jubileuszowego komitetu. Jestem w posiadaniu aż trzech druków, jakie wydało miasto w tym Anno Santo pana starosty, więc 1) apel do mieszkańców, 2) program i 3) zaproszenie na bankiet z albumem. Wydawnictwa te i prospekty przedstawiają się okazale i świadczą dobrze o graficznych zdolnościach tubylców. Format zupełnie właściwy, jedynie gatunek papieru, użytego na zaproszenie, razi niejaką twardością, co jednak położyć można na karb nieświadomości. Zastrzeżeń gramatycznych miałbym wszystkiego dwa i to w małym kalibrze, podczas gdy sam jubileusz budzi wiele, wiele wątpliwości.

Głównie idzie o bagatelkę, o... szczerłość i samorzutność tego potopu holdów. Przecież do słonecznej Raguzy, gdzie siedzę na kuracji, przysłano mi sporą ilość druków z odpowiednimi komentarzami i z prośbą o natychmiastową interwencję. Wśród anonimowych listów trafiały się nieortograficzne, ale były także i inne, pisane przez ludzi inteligentnych. Rzecz doprawdy znamienna, w tychże listach nie znalazłem ani jednego nawet najbardziej błahego zarzutu pod adresem samego starosty, który musi naprawdę i bez blagi cieszyć się sympatią i szacunkiem powszechnym, natomiast w całej do dziś dnia obficie napływającej korespondencji powtarza się protest przeciw tej mobilizacji jubileuszowej. Zamiast uczcić rzetelną zasługę i pracę, krzywdzi się jubilata nahalną formą takiej masówki, od której krok tylko do beatyfikacji.

Co gorsza, z pewnością wspomniane miasto nie stanowi wyjątku i można sobie wyobrazić, na podstawie tego przykładu, co dzieje się gdzie indziej, na dzikiej, nie pachnącej prowincji.

Wracam jednak do jubileuszu Rodziewiczówny, o którym jakoś milczą powołane czynniki. Jubileusz jest im widocznie bardzo, a bardzo nie na rękę. W tym wypadku nie owa zabita deskami dziura, ale właśnie stosunki stołeczne pachną... prowincją, przy czym wyrażenie „pachną“ jest łagodnym eufemizmem. Bengalski, jaskrawy blask oświetla tę personalną politykę, której zasady stosuje się żywcem także i w literaturze. Nie przyjęła warzyny, tak?! No, to my jej nie urządzimy jubileuszu! Naprawdę Pipidówka!

Cała ta szlachetna, wielkoduszna i tak charakterystyczna zemsta chyba, jeżeli miała na celu osobę Rodziewiczówny, która oddała pół wieku służbie dla narodu. Idzie tu o moralne i wychowawcze znaczenie tego faktu, ponieważ dla samej Autorki jubileusz jest obojętny, jako że o te rzeczy nigdy nie dbała. Właściwie literatura nie obchodzi wcale Rodziewiczówny, nie dociera do dalekiej Hruszowej, gdzie autorka żyje w dostojnym odosobnieniu. Biograf Jej, świetny krytyk, Czachowski, pisze: „jak niedawno stwierdził ktoś z odwiedzających autorkę w jej siedzibie wiejskiej, Rodziewiczówna po prostu nie była ciekawa, aby przejrzeć „Wiadomości Literackie“, podobno nigdy nie miała ich w rękę“.

A jubileusze miała już dwa: jeden w roku 1927, pierwszy zaś, dwudziestopięcioletni, w roku 1911, to jest wtedy, gdy społeczeństwo w pełni rozumiało wagę zasług Rodziewiczówny dla narodu, dla niepodległości. Właśnie ćwierć wieku temu nie kto inny, ale Sienkiewicz pisał:

„Twoja wiara, Twoja nadzieja i Twoja miłość była wiarą, nadzieją i miłością polskiego narodu... Służba Twa była zawsze wierna Ojczyźnie, a zarazem jasna i przeźrocza, jak ruczaj litewski... I oto dlaczego po długich latach pracy otacza Cię miłość narodu...“.

Zdawałoby się, że ten hołd, złożony w czasach niewoli, powtórzy teraz państwo, którego była wielką, wytrwałą pionierką, że wykorzysta okazję pięćdziesięciolecia w sensie jak najszerszym, głównie pedagogicznym, a tymczasem... W roku 1911 otaczała ją miłość narodu, cóż więc stało się, że jej ta miłość dzisiaj nie otacza?

Myślałby kto, że Rodziewiczówna ograniczyła się wyłącznie do pisania, że obca jej była praca społeczna? Ciekawych odsyłam do wspomnianej a wielce pożytecznej książki Czachowskiego, gdzie mowa o udziale jej w organizowaniu kooperatyw, świetlic, sklepów, o budowie szkół, o pracach w Czerwonym Krzyżu podczas wojny, o szpitalach, o tym, ile włożyła serca i energii w sprawę odsieczy Lwowa, o tym, że wzniosła w Annopolu Dom Polski dla nauczycieli szkół powszechnych itd., itd. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie Rodziewiczówna dystansuje nie jednego, ale chyba stu zasłużonych starostów.

Brak miejsca nie pozwala mi zająć się pytaniem, dlaczego np. „Dewajtis“, „Szary proch“, „Czahary“, „Lato leśnych ludzi“ itd. stanowią do dziś dnia lekturę ogromnych mas, dlaczego urok tych „sensacyjnych“ a sentymentalnych, optymizmu i wiary w człowieka pełnych książek nie tylko nie słabnie, ale wzrasta, utrwała się z biegiem lat. W roku jubileuszowym nie zawadzi powrócić do Rodziewiczówny i jeszcze raz przewertować

piękne karty, na ich tle bowiem urasta postać autorki, która podobnie jak bohater jej ostatniej powieści:

„...co roku o tej porze zasiewał swoją ziemię. Leżała przed nim ukochana, siwa, uboga, poleska, a on szedł bruzdą zagonu i ciskał miarowo srebrzyste żyto... Nad nim wisiało posępne niebo, grożąc słotą, śniegiem, gradem i długą, bezsłoneczną zimą w pustce i samotności. Był taki drobny, mały, taki sam na tej swej wschodniej granicy Rzeczypospolitej... siał, siał — w swej zawziętości kamienny, w swym postanowieniu trwania żelazny“...

# LISTY PERSKIE



Usbek do Rhediego.

„Jeśli istnieje Bóg, drogi Rhedi, nieodzownie musi być sprawiedliwy; inaczej bowiem byłby najbardziej złą i niedoskonałą z istot. Sprawiedliwość to wykładnik realnego stosunku między dwiema rzeczami: wykładnik ten jest zawsze jednaki, jaka bądź istota by go rozważała, Bóg, anioł czy wreszcie człowiek... Ale nie jest możliwe, aby Bóg uczynił kiedy coś niesprawiedliwego“...

Drogi Rhedi, zdziwisz się zapewne, czytając słowa Monteskiusza, których użyłem na wstępie. Przeżywamy jednak obecnie w K. chwilę, która zmusiła mnie do myślenia o sprawiedliwości samej jako też o jej ziemskim wymiarze. O sędziach i o sędziach. Jakżeby ci to opowiedzieć? Chyba, nie bawiąc się w przydługą ekspozycję, od razu przystąpić do rzeczy.

Pamiętasz zapewne przepyszną farsę Hennequin'a i Webera pt. „Pani prezesowa“? Doprawdy pękać można ze śmiechu! Sytuacje w najwyższym stopniu nieprawdopodobne piętrzą się jedna nad drugą, a przeprowadzone są w sposób wyjątkowo „logiczny“. Jakże dziwnymi drogami, skacząc ze szczebla na szczebel, awansuje prowincjonalny sędziak na prezesa sądu w stolicy? Zdawałoby się, że to możliwe tylko w farsie, a tymczasem...

Właśnie w mieście, w którym przebywam, patrzyliśmy od dawna, bo od kilku lat, na przedziwną farsę pt. „Pani prezesowa“. Treść zupełnie inna niż u Hennequin'a, lecz i tu występował pan prezes, awansujący z błyskawiczną szybkością, której poszczególne etapy jedynie właściwości farsy usprawiedliwić mogą. Główną jednak rolę grała pani prezesowa. Rolę społeczną, dobroczynną, oświatową, kulturalną, jaką kto chce, ponieważ tej pani prezesowej wszędzie było pełno. W każdym Komitecie, w „krzyżach“ wszelkiej barwy, żłóbkach, ligach, patronatach, na każdym balu i na każdej akademii, przy wbijaniu gwoździ do sztandarów czy zwożeniu taczek. Zawsze pierwsze miejsce. Trzęsła miastem.

Ale oto nagle, niczym piorun z jasnego nieba, spada wiadomość, która farsę przeistacza a tempo w dramat, w dramat ponury, czarny jak noc, z finałem w więzieniu. Nie ma już z czego śmiać się, natomiast można gorzko zapłakać, jest to bowiem najpaskudniejsza historia z wszystkich paskudnych, jakich świadkami byliśmy w ostatnich latach. Dalej pójść już nie można. Kto wie jednak, czy nie lepiej, że pękł ten wrzód? W skandalu jest jakby moment oczyszczający, ulgę przynosi świadomość, że nic gorszego już stać się nie może.



Odbyło się to, jak powiadam, błyskawicznie. Ot, jeszcze tydzień temu święcono pod pomnikiem wieszczka, na rynku, sztandar poważnej, zasłużonej organizacji ekswojskowych. W spisie matek chrzestnych figurowała (bez niej przecież nie mogło się obyć) na trzecim miejscu osoba, o której komitet zmuszony był w samą wigilię uroczystości rozesłać do gazet następujący komunikat: „Z powodów od nas niezależnych pani X. nie weźmie udziału w święcie sztandaru“. Jakież są te „powody niezależne“? Ano, bardzo proste. Mianowicie takie, że ta matka chrzestna znalazła się w więzieniu śledczym, jako oskarżona o bardzo, bardzo brudne sprawy. Głównie o kupczenie urzędami sędziowskimi... Pomyśl, drogi Rhedi, żona prezesa! A pono, jak mówią wtajemniczeni, pośredniczyła czy pomagała nawet przy uzyskaniu patentów fryzjerskich...

Więc wytworna dama, która notorycznie szła w jednej z pierwszych par każdego poloneza, obecnie przebywa w więzieniu. Zaczęła „życie surowe“. Tu zatem koniec farsy a początek dramatu, choć nie pozbawionego wątków szczerze komicznych. Co prawda, gorzki to komizm i gorzkie szyderstwo: pokazuje się, że pani prezesowa pracowała z wielkim oddaniem się i zapałem także w... Patronacie opieki nad więźniami. Zabezpieczyła sobie starość. A jej mąż kierował wymiarem sprawiedliwości w ogromnej połaci kraju, reorganizował sądownictwo i w imię najwyższych ideałów stał na straży etyki zawodowej, przynosił sędziów, zawieszał w urzędowaniu, dokonywał czystki. Sądził!

Casus wstrętny. Po napisaniu listu trzeba się będzie zdezynfekować. Ale muszę Ci o tym napisać, ponieważ pani prezesowa, choć objaw wyjątkowy, przecież urasta

do jakiegoś symbolu, jest punktem szczytowym, koronuje system. Niewiarogodna amplituda kariery jej męża, lubo różniąca się zasadniczo od tej, którą przeprowadzają francuscy autorzy w swej klasycznej farsie, staje się wykładnikiem epoki. Ma właśnie klasyczną logikę farsową. Siedmiomilowe buty niosą prowincjonalnego sędziego w zawrotnym tempie ku najwyższym godnościom. Żaden Trojanowski czy Biniakowski nie osiąga takich rekordów w biegu z płótkami, jakie osiągnął ten podsedek z Podkarpacia w biegu z posadami. Dla niego nie ma przeszkody. Jak najlepszy koń wyścigowy bierze posadę po posadzie. Napoleon sądownictwa! I podobno w niedalekiej przyszłości miała go oczekiwać teka! W przeciągu kilku lat zdobywa godność prezesa sądu apelacyjnego, stanowisko, na którym przywykliśmy byli (czas zaprzesyły) widzieć ludzi wysokiej wiedzy i kryształowego charakteru. Imiona ich wymawiano z największym szacunkiem. Bo też Katon był to w Katona!

Iustitia fundamentum regnorum... I z teje właśnie sprawiedliwości robi się czarną giełdę, przetarg na urzędy. Mniej zamożnym, jak słyhać, rozkładano ów haracz na raty. I pani prezesowa, na zewnątrz osoba pobożna, a z przekonań gorąca antysemitka, posługiwała się pośrednictwem żydowskim. Także charakterystyczny szczegół! Nie brak obecnie głosów, jakoby poważny odsetek zysków szedł na cele społeczne i dobroczynne. Choćby to i prawdą było, trzeba przecież tę charytatywną działalność uznać za co najmniej bardzo niewłaściwą. A mąż nic nie wiedział. No, Temida jest ślepa.

Jak opowiada wieść gminna, w aferę tę wmieszane są podobno nie tylko płótki, ale i grube ryby aż do najgrubszych a sławnie żarłocznych szczupaków. Oczywiście

plama ta nie spada bynajmniej na całe sądownictwo, które po dawnemu stoi wysoko, ale fakt zmusza do czarnych uwag. Pesymista, patrząc na całą tę historię, powie, że razem z tymi galopującymi awansami skromnego sędziego pędzi na łeb poczucie sprawiedliwości, ład, porządek i sens wszelaki.

Optymista zacznie przypuszczać, że mąż ten musiał przecież i mimo wszystko przedstawiać jakieś szczególne zalety charakteru i umysłu, głęboką wiedzę prawniczą, wysokie poczucie etyki lub w braku tego wszystkiego bodaj walory reprezentacyjne czy towarzyskie, talent oratorski lub coś podobnego, skoro wygrzebano go w prowincjonalnej dziurze. Niestety, ludzie, którzy mieli sposobność zetknąć się bliżej z mężem pani prezesowej, mówią, że zalet tych jakoś nie zdążyli zauważyć. Co więcej, utrzymują, że zalety owe były zgoła niepotrzebne. Wystarczyło w zupełności nazwisko panięńskie żony.

Upewniam Cię, że najbardziej musi być zgorszony tym awansem i tą aferą zwykły szary urzędnik, sędzia czy asesor, człowiek, który sumiennie i pracowicie odwała swoich na pewno więcej niż osiem godzin dziennie. Zatraskany o przyszłość, gnębiony redukcją, pożyczkami wszelakiego autoramentu, patrzy na zablokowanie awansów, na czystki, na przenoszenia z miejsca na miejsce czy też w stan spoczynku — ale przecież, przecież łudzi się nadzieją, że po latach spotka go zasłużony czy tylko wysłużony awans, podwyżka pensji. Nagle widzi, że cała ta nadzieja i cała solidna praca nie ma sensu. Widzi, że kto chce awansować, musi poszukać innych dróg. Musi zapłacić. Więc tenże szary urzędnik porówna własne mizerne pobory z przeszło dwutysięczną pensją pana

prezesa, pokiwa głową i dojdzie do wniosku, że pracować nie warto. Że nie opłaca się być uczciwym.

Drogi Rhedi, prawdopodobnie kiedyś, po latach, gdy się ten przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytoń uleży, prawdopodobnie przyjdzie jakiś Balzac i da przekrój komedii ludzkiej, rozgrywającej się w odrodzonym kraju. Odtworzy walkę drapieżnych instynktów, kłębowisko charakterów, kuźnię fortun, ścieranie się karier, konflikty sprzecznych interesów, spiętrzone afery, protekcję, nepotyzm, symonię, korupcję itp. Ach, cóż za sceny roztoczy choćby na tle takiej „Adrii“! Czytać będziemy owe tomy z uczuciem, że autor na pewno grubo przesadził, że nadużył kolorów — w szczególności koloru czarnego — ale zajmująca będzie to powieść.

Zresztą, może Balzaka zdystansuje jakiś Zola. Jakieś nowe, swoiste wyniesienie się rodzimych Rougon-Macquartów, jakaś „historia naturalna“ jednej rodziny. A znalazłoby się u nas kilka charakterystycznych familij czy dynastij nawet, nadających się pod skalpel naturalisty...

Kończę, drogi Rhedi, żałując mocno, że nic weselszego na dzisiejszą niedzielę wymyśleć nie mogłem. Jednakże mimo grozy, jaką cytowana afera obudziła, mimo uczucia wstydu, przecież ludzie odetchnęli z ulgą, wiedząc, że sprawa nie będzie zatuszowana, jakby to snadnie kiedy indziej wydarzyć się mogło. A zatuszowanie byłoby gorszym niż samo zło. Jesteśmy jakby wyzwoleni z lęku. To Arystotelesowskie „katharsis“, czyli wyswobodzenie się od uczucia strachu. I nie tylko strachu: katharsis wyzwala także z litości. Oczyszczenie, którego doznajemy, patrząc na tragedię, stanowi rzetelną korzyść. Nie wolno jej lekceważyć!

Potężny jest ten wstrząs, choć na pozór ogranicza się do dwojga osób i do jednej tylko połaci wielkiego kraju. Któż wie, jak daleko sięga on naprawdę?

Myślę sobie o sprawiedliwości i na chybił trafił otwieram znowuż Monteskiusza. Przypadkowo zupełnie oko moje pada na słowa, które mają w sobie nie tylko powagę, ale i niezachwianą wiarę:

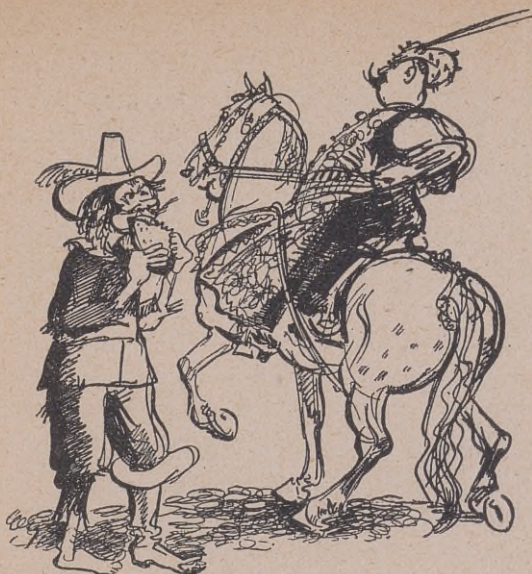
„...Sprawiedliwość jest wieczna i nie zależy od ludzkich układów. Gdyby nawet była od nich zależna, trzeba by tę straszliwą prawdę ukrywać zgoła przed samym sobą“...

---

Cytaty, ujęte w cudzysłów, pochodzą z „Listów perskich“ Montesquieu w przekładzie Boy'a.



# S Z W E D Z K I C H L E B



Znacie, Państwo, „szwedzki“ chleb? Na pewno znacie: chrupiący, świetnie wypieczony, zdrowotny i cieszący się doskonałą marką, jako rzekomo niezawodny w pewnych okolicznościach. Czy zawsze ten chleb szwedzki był taki?

Zdaje się, że nie. Gdy w roku 1635 zawierano rozejm polsko-szwedzki w Sztumsdorfie, obecny był tamże poseł nadzwyczajny Króla Imci francuskiego, hrabia Klaudiusz de Mesme d'Avaux, w którego orszaku znajdował się poeta, erudyta i pamiętnikarz w jednej osobie, noszący skromne a niewyszukane nazwisko Ogier (czytaj „Oźje“). Tenże p. Ogier, opisując niezwykle, propagandowy prze-pych, jaki roztoczyli polscy panowie i ich kapiące od złota poczty, podnosi równocześnie, że „oddziały szwedzkie natomiast brudne, bose i w lachmanach, składały się z ludzi jakby świeżo sprowadzonych z pola i od pługa“.

(Cyt. według M. Smolarskiego „Dawna Polska w opisach podróżników“): Przy okazji Francuz przyjrzał się dokładnie chlebowi, jaki jedli Szwedzi. Był „czarny, upieczony z plewami, tak ciężki i wilgotny, że na słońcu lub nad ogniem suszyć go trzeba było“.

Dziś, w trzysta lat później, chleb szwedzki idzie na calusieńki świat. Chleba tego jest w Szwecji pod dostatkiem, równie jak innych wiktuałów, ponieważ główni odbiorcy naszego węgla (w roku zeszłym 36,81 proc.) odznaczają się Rabelesowskim apetytem i zazwyczaj bezpośrednio po kopyatym obiedzie przystępują do jeszcze obfitszej kolacji. Podobno niektórzy nie wstają przy tym w ogóle od stołu, znam zaś żonę pewnego dygnitarza z Gdyni, która oświadczyła, że już nigdy w życiu nie pojedzie do Szwecji. Dlaczego?

— Panie, po tygodniu pobytu w Sztokholmie przybyło mi sześć kilo! Już nie chcę ryzykować...

Gdyby imci pan Ogier wstał z grobu, a porównał zewnętrzny wygląd nas i Szwedów, stwierdziłby, że stosunek zmienił się radykalnie na korzyść tych ostatnich. Pan Ogier przewróciłby się w grobie do góry nogami na widok tej mutatio rerum. To my jesteśmy brudni, bosi i w łachmanach, a przechodnie, jakich widzimy na ulicach miast polskich, sprawiają wrażenie, jakby świeżo byli sprowadzeni „z pola i od pługa“. Przez ulice nasze przewala się nędza, nie wstydząca się żebrać. Dziadów u nas więcej, niż na placu Dżemal Fna w Marakesh, niż koło bramy damasceńskiej w Jerozolimie! (Tydzień temu w Gdyni pożyczył ode mnie 5 zł wicekonsul honorowy Guatemali czy innego Hondurasu). Natomiast każda ulica w Sztokholmie czy w małej Upsali (czytaj „Epsale“, z akcentem na pierwszej, jakby ci się chepło — mó-



wiąc językiem Marcyny) to salon, wyfroterowany, wysprzątany elektroluksem.

Po tym salonie spacerują ludzie, mający wygląd rentierów albo modnych strojnisiów. Przeważnie są to robotnicy. Przez aseptyczne ulice pędzą setki aut, z których żadne nie poważy się zatrąbić. W salonie nie robi się hałasu. Co któryś skromny urzędnik ma własną wyspę (pознаłem niejakiego p. Rönströma, którego ojciec ma jedenaście wysp...) i motorówkę, a w niedzielę na owych wyspach — niekiedy „socjalistycznych“ — zakwitają flagi z lwem szwedzkim. Domy robotnicze przypominają do złudzenia wille, zbudowane np. w Krakowie na terenie oderwanym niepotrzebnie od Błóż.

Bardzo, bardzo dumny przybiłem do wesołych szwedzkich brzegów. Napawał mnie pychą fakt, że „wiozę“ 3000 ton koksu dla elektrowni sztokholmskiej. Gdy portowi robotnicy z formanem na czele rzucili się, niczym pantery, na ów koks, gdy starali się, aby nawet jedna grudka cennego ładunku nie została na pokładzie „Roburu V“, pomyślałem sobie, że w drodze naszego rozwoju mocarstwowego i handlowego zrobiliśmy duży krok naprzód. Polski statek, polska komenda, polski koks, a nasi prości marynarze mówią po szwedzku, jakoby orzechy gryzł. Klasa! I w godzinę później patrzę na wysterylizowany bruk Sztokholmu, aby poddać się wielkiemu speszeniu. Co gorsza, jestem upokorzony. Pali mnie zazdrość, jak piekielna zgaga.

Zazdrość ta pali coraz bardziej z godziny na godzinę. Pytam np. o analfabetów: pojęcie w tym słabo zaludnionym, ogromnym kraju nieznanie od trzech pokoleń co najmniej. Nawet Lapończycy, nomadzi północy, mają szkoły wędrownie i umieją czytać. Na 450 000 km kwadra-

towych jest sześć milionów mieszkańców. My mamy 388 634 km i ludności jakieś 34 miliony. W tym sześć milionów analfabetów, czyli dokładnie tylu, ilu ma Szwecja... mieszkańców. Chciałem splunąć ze złości, ale nie było gdzie. W salonie?

Zazdrość hausse'uje. Oto przyjechałem w samym momencie wyborów. U nas więcej jest hałasu z powodu dziwactw i nonsensów ortografii, niż tam przy wyborach. Walna rozgrywka w wyborach do Rady miejskiej w Łodzi doprowadza ludzi do szału. To walka na śmierć i życie. Może poleje się i krew? A tam? Chyba także poważna rozgrywka: socjaliści czy agrariusze? Ach, jakże tam spokojnie! Wszyscy wiedzą, że od wyniku wyborów nie zawali się ani świat, ani Szwecja, że po dawnemu będzie dobrobyt, ład, czystość, bogactwo, szkoły, chleb... I zwyciężają socjaliści uzyskując absolutną większość, czyli zmiana gabinetu w powietrzu. Pewnie premierem zostanie socjalista Hansson. Ale na to jest czas: trzeba czekać, aż król wróci z polowania. Ileż spokoju, ile pewności, ile zaufania! Jak tu czysto w powietrzu!

Ze zmianą gabinetu czeka się na koniec polowania! Dodajmy, że dynastia szwedzka jest najmłodsza w Europie, pochodząc bezpośrednio od pewnego mieszczanina francuskiego, który jako marszałek Francji miał dość sprytu, aby w dobrym momencie zdradzić Napoleona. I właśnie ta dynastia, licząca sobie zaledwie 126 lat panowania, może — obok angielskiej czy holenderskiej — najspokojniej, najpewniej zasiadać na tronie!

Król poluje na renifery(?) w takiej ważnej chwili! Czy u nas, gdyby np. miały zajść analogiczne zmiany, gdyby miejsce agrariusza Składkowskiego miał zająć — dajmy na to — Poniatowski, czy nie musianoby skrócić polowania w Białowieży? A tam?

Wieczorem siedzę w najpiękniejszej restauracji całego świata, mianowicie w Grand Hotelu. (Nb. dancing jest tam zaledwie dwa razy na tydzień, podczas gdy np. w Gdyni do niedawna istniał lokal, na którym wywieszono szyld następującej treści: „Codziennie od ósmej rano balet“...). Jestem w towarzystwie szwedzkim. Potomek Millera czy Horna, który to Horn porwał się swą świętokradczą ręką na Jasną Górę, wskazuje mi siedzących przy sąsiednim stole dwóch młodych ludzi.

— Wie pan, kto to jest? Książę Karel, bratanek króla...

Zakładam binokle i patrzę, oczom i szczęściu własnemu nie wierząc. Więc o strzelenie korkiem z szampana ode mnie siedzi... Ubrany skromnie, ale tak wytwornie, że gdyby mi ten Szwed nie powiedział, wziąłbym księcia krwi Bernadotte'ów łącznie za jakiegoś robociarza sztokholmskiego. A oto on jest bratankiem króla Szwedów, Gotów i Wandalów, wielkiego księcia Finlandii, Estonii, Karelii, Bremy, Werdy, Szczecina, Pomeranii, Kaszubów i Wandalii, księcia Bergu, pana Ingrii, Wismarku, hrabiego Juliahu, Kliwii etc. etc...

— A ten drugi arbiter elegantiarum to zapewne książę Sudermanlandii? — pytam.

— Nie, to jest redaktor jakiegoś pisma radykalnego...

Patrzę na tych dwóch panów, zatopionych w przyjaźnej pogawędce, i teraz dopiero zaczynam naprawdę rozumieć, dlaczego król, po takich rezultatach wyborów, spokojnie może dokończyć polowania. Pytam jeszcze na wszelki wypadek o komunistów oraz o tubylczych Hakenkreuzlerów, a moje towarzystwo szwedzkie zaczyna się śmiać wesoło. Komuniści? Oczywiście, lepiej, aby ich nie było, lecz nie przesadzajmy... O, właśnie siedział tu na sali pewien komunista, ale wyszedł. Szkoda, mógłby go pan poznać. Bardzo gościnny człowiek. Ma doskonałą

motorówkę, którą na pewno obwiózłby pana... A zresztą, widzi pan, panie doktorze, nasz kochany król może spokojnie, jeszcze przez bardzo, bardzo długi czas grać w tenis. W single'u jest już nieco słabszy i do siatki nie biega, ale w double'u, szczególnie w mixt'cie nie radzę z nim żartować...

Bardzo, bardzo jestem zazdrosny o tego kochanego króla, a tymczasem wołają mnie do telefonu. To wiadomość ze statku: zostajemy trochę dłużej, niż było przewidziane, ponieważ robotnicy, pracujący przy wyładowaniu koksu, nie przyjęli nadprogramowych godzin i przyjdą dopiero jutro, rezygnując ze specjalnego honorarium. Mają dość na dzisiaj. O tych parę głupich koron im nie idzie...

Następnego dnia zaopatruję się w trochę książek francuskich i angielskich, które może uda mi się przeszwarować na cle w Gdyni. Kupuję także i rozmaite gazety, jako że dwa dni na statku spędziłem bez Kochanego Kurierka, usychając z tęsknoty... I znowuż ogarnia mnie zazdrość na widok nowości z całego świata. Przecież niedawno pewien znakomity uczony, reprezentant Polski w jednej ze stolic europejskich, opowiadał mi, że będąc obecnie na urlopie w kraju, ma wielkie trudności z pozwoleniem na zaprenumerowanie „Le Temps”. Sprawę tę będzie musiała rozstrzygnąć centrala dewiz...

Ażeby mój pogodny, szkicowo potraktowany obraz nie był wolny od stron ciemniejszych, przechodzę z kolei do spraw poważnych. Mam na myśli, oczywiście, prohibicję. Otóż, człowiek bywały w świecie da sobie wszędzie radę, niemniej z tą sprawą miałem — przynajmniej w pierwszych godzinach — trochę kłopotu, lecz i na Półwyspie Skandynawskim nie opuściły mnie for-

tele. To pewna, że spirytus — jako niezbędny składnik ponczu — stanowi pożądaną, choć niedozwolony artykuł przywozu. Doszło do moich uszu, że jeszcze przed kilku laty przedostawał się do Szwecji razem z węglem górnośląskim, drogą nielegalną, za to w formie rozcieńczonej wodą. Aby dogodzić szwedzkim odbiorcom, marynarze nasi dodawali nieco... kwasu solnego. I Szwedzi chwalili sobie tenże spirytus, mówiąc, że jest mocny i że szczypie. Wyobrażam sobie! Przystępstwo to powinno być karane bardzo surowo.

I jeszcze jedna uwaga, tym razem pro domo mea. Wydawca mój, niejaki Gebethner, starał się usilnie o to, aby książkę Z. Nowakowskiego pt. „Przylądek dobrej nadziei“ polskie ministerstwo zaleciło jako odpowiednią lekturę dla młodzieży szkolnej. Nie udało się. Ta sama książka ukazała się po szwedzku mniej więcej rok temu. I tamże, na Półwyspie Skandynawskim została uznana przez władze za odpowiednią lekturę dla młodzieży szkolnej... Zabawne, prawda?

Ach, jacyż to przyzwoici i porządni ludzie ci Szwedzi!...

\* \* \*

P. S. Byłbym zapomniał, a to bardzo ważne. Otóż kilku pijanych dostrzegło moje bystre w tych rzeczach oko. W jednym lokalu wolno wypić tylko jeden kieliszek, dlatego też amatorzy wędrują aż do skutku. Muszą jednakże trzymać się prosto, skoro bowiem policjant zauważy, że któryś z nich potknie się albo zachwieje na progu, wtedy zawraca ich z drogi. Dlatego też starają się niczym nie zwracać uwagi władz, a jeden upomina drugiego, mówiąc: „Ty, trzymajże się, bo nas nie wpuszczą!“ I w tym także jest porządek.



# S K A N D A L



Przed kilku dniami byłem na bankiecie, wydanym dla aktorów Komedii Francuskiej z racji ich występu w Krakowie. Podczas bankietu bardzo dowcipnie odpowiedział na przemowę dyrektora Frycza aktor André Brunot. Mówił trochę o miłości do Polski, trochę o pięknie Wawelu i ołtarzu Wita Stwosza u Panny Marii, więcej zaś słów, mianowicie aż dwie ciepłe wzmianki poświęcił celnikom krakowskim, którzy przez trzy godziny z górą walecznie bronili wstępu koszom, zawierającym kostiumy, rekwizyty i peruki. Nie chcieli tego wpuścić w żaden sposób. Także niezła propaganda! Rozmawiałem potem w jakimś kąciку z owym p. Brunot, który szerzej i barwniej jeszcze niż w oficjalnym toaście przedstawił „Les Fourberies“ naszych celników. Pękali ze

śmiechu ci Francuzi i na pewno będą mieli wiele do opowiadania po powrocie.

No, ale do cła jesteśmy już przyzwyczajeni. Co prawda, dziwi nas trochę, że ktoś nie uprzedził ekipy celnej o przyjeździe słynnego teatru francuskiego. E, głupstwo! Dziś mam poruszyć sprawę grubszego kalibru, dlatego też wbrew mym zwyczajom dałem tytuł prosty, niewyszukany, składający się z jednego słowa. Ze słowa „Skandal“. Prawdziwa perła, wydobyta ze skarbnicy naszej propagandy.

Kawałek zupełnie wyjątkowy. I niewiarygodny zarazem, choć prawdziwy od a do z. O, aż nadto prawdziwy! Idzie o paszport dla uczonego. Gdy niedawno brukselscy mistrzowie ringu wybierali się do Polski, okazało się dosłownie w ostatniej chwili, że nie mają jakichś tam niezbędnych dokumentów, wymaganych przez policję belgijską. Poręczył za nich sekretarz Belgijskiego Związku Bokserskiego i paszporty były gotowe w przeciągu dwudziestu minut. Jak podobne sprawy u nas wyglądają, wiadomo. Ale choć z opóźnieniem, choć z całym korowodem trudności i sadystycznych pomysłów, przecież paszporty znajdują się. Znajdą się i pieniądze, zwłaszcza gdy idzie o zwycięskich naszych narciarzy, tenisistów, jeźdźców, członków PAL-u, szermierzy itd. Zresztą zupełnie słusznie. Oby przynajmniej wygrywali!

Gdy jednak w grę wchodzi nauka, władze okazują się nieustępliwe, twarde, konsekwentne. Choć zgodzi się ministerstwo oświaty, ministerstwo drugie powie: „Nie!“ Koniec! Nie ma rady! Właśnie chciałbym omówić taki zabawny epizod.

Jest kraj, który stroni od wszelakiej propagandy, kraj trudny, ekskluzywny, kraj, który znamy z ciętej satyry



Multatuliego: Holandia. Stosunki nasze z Holandią, niegdys w XVI, XVII wieku niezmiernie żywe zarówno pod względem handlowym, jak umysłowym, urwały się. Nie wiedzą o nas nic. Jednakże — dziwnym doprawdy trafem — sami, z własnej woli i inicjatywy chcieliby się czegoś dowiedzieć. Zapraszają więc pewnego uczonego polskiego. Mianowicie proszą go uniwersytety w Lejdzie, w Groningen i w Utrechcie, czyli wszystkie trzy wszechnice holenderskie. Nadto, Królewskie Towarzystwo Historyczne w Amsterdamie i Towarzystwo Naukowe w Rotterdamie. Jednym słowem, jest to zaproszenie od całej kulturalnej Holandii. W ciągu długiej korespondencji gospodarze ustalają tematy pięciu odczytów, ich terminy, czas trwania. (Nb. lubią słuchać, ponieważ wyrazili życzenie, aby odczyty trwały dosyć długo: 105 minut każdy...). Z góry zgłaszają się holenderskie dzienniki, prosząc o manuskrypt wykładów. Oprócz tego szkicuje się program przyjęcia, a więc u kogo w danym mieście będzie polski uczoney mieszkał, kto go obwiezie po kraju i pokaże godne widzenia rzeczy, kto ugości obiadem itd. Wszystko przeprowadzone z nieprawdopodobną pedanterią, marszruta wyliczona na milimetry.

Uczoney polski, otrzymawszy to zaproszenie, zawiadamia na długo przed terminem wyjazdu nasze ministerstwo oświaty. Otrzymuje zapewnienie paszportu. Dodajmy, że ten wyjazd nie miał kosztować Polski ani grosza, że nie jest w najmniejszym stopniu subwencjonowany. (Ciekawy jestem, ile też kosztowało Garmisch-Partenkirchen?) To propaganda za darmo. A więc najlepsza, niepodejrzana, czysta, prawdziwie kulturalna, a docierająca do elity. Czyli taka, która zostaje. To nie bankiet z mowami „Francja-Serdania, Serdania-Francja“, nie

okazja do wymiany całej serii orderów, nie występ naszych nieśmiertelnych pod kopułą, nie skandal z wystawą brukselską. Jednym słowem, rzecz poważna, serio.

Nic dziwnego, że ministerstwo oświaty zapewnia poparcie w staraniach o paszport. Przecież to gratka prawdziwa! Po raz pierwszy zdarza się, że Holandia sama prosi Polaka. Jakże można nie skorzystać? Zważmy, że Holandia wydaje całe tomy, poświęcone jej stosunkom dyplomatycznym i kulturalnym z obcymi państwami. W tomach tych nie ma ani słowa o Polsce, ponieważ wyszliśmy z obiegu w trakcie długich lat niewoli. A tam właśnie chronili się nasi wybitni różnowiercy, tam koncentrowały się polskie stosunki handlowe ze światem, holenderskie, nie inne statki wykonywały prawie cały transport polskiego surowca w dawnych wiekach. Wydawałoby się, że skorzystamy z każdej sposobności nawiązania stosunków naukowych, tak dla Polski utrudnionych bodaj z powodu przeszkód natury językowej, stosunków, nad których nawiązaniem z zagranicą kłopotą się od dawna polskie sfery naukowe. Takiej okazji nie wolno pominąć! Czesi wydusiliby ją jak cytrynę! Z pestkami!

Zważmy dalej, że uczony polski miałby możliwość dotarcia do archiwów, zawierających jakieś holenderskie polonica. Ostatnio zaś, i to w sposób dorywczy, badał te archiwa w roku 1848 Kalinka. A w Holandii właśnie na gruncie reformacji najbujniej rozwijał się nasz kontakt ze światem! Co więcej, zamiast propagandy bankietowej lub niezgrabnej, szytej grubym ścięciem, byłaby to propaganda robiona dla nas przez samych Holendrów. Zrozumiałą jest więc rzeczą, że ministerstwo oświaty nie tylko daje placet, ale zapewnia poparcie. Niestety, mi-

nisterstwo oświaty w tych sprawach, jak się pokazuje, nie ma nic do gadania.

Rozwodzę się nad tą historią, ponieważ jest niesłychanie znamienna dla naszych stosunków i ponieważ wypadek ten nie jest bynajmniej pierwszy. Na pewno nie jest i... ostatni. Odczyty miały odbyć się w następującym porządku: 9 marca Amsterdam, 11 Lejda, 13 Utrecht, 16 Groningen, 17 Rotterdam. Uczony ma je opracowane już od dawna w języku niemieckim i francuskim. Gotowy jest i przekład na holenderskie dla tamtejszych dzienników. Pewne dzienniki dostały już skrypt wykładów.

Skrypt wykładów, które... wcale się nie odbędą. A to z przyczyny bardzo prostej: ministerstwo oświaty i sam pan minister, człek przezacny i pelen najlepszej woli, pewnie chciał jak najlepiej, starał się, zabiegał na wszystkie strony, ale ministerstwo spraw zagranicznych powiedziało, że paszportu ulgowego nie da. O przyczynach pomówimy jeszcze. Czy dałoby paszport zwykły, wątpliwe. Zresztą jest już za późno. Odmowa ostateczna przyszła na cztery dni przed zapowiedzianym w prasie holenderskiej wykładem amsterdamskim. Trzeba zatem całą imprezę odwołać. I jak to wytłumaczyć solidnym, systematycznym Holendrom? Mam wrażenie, że choćbyśmy nie wiem jak tłumaczyli, i tak nie zrozumieją.

Bo tego zrozumieć nie można. Bo to nie mieści się nawet w granicach naszej, jakże bogatej praktyki paszportowej. Kulturalny człowiek Zachodu nie pojmie tym bardziej. Jeżeli zaś pojmie, wyrazi swoją opinię w jednym słowie. Mianowicie w tym, którego użyłem jako tytułu.

Ponieważ mówię o konkretnym fakcie, trzeba więc

wymienić nazwisko uczonego. Nazwisko — zaznaczam otwarcie — dość kłopotliwe dla sfer rządowych. Ale w świecie naukowym niezłe, nawet bardzo, bardzo dobre. Pierwszorzędne. Czyli — zgadnie każdy czytelnik — profesor ten musi należeć do zredukowanych. Czyli, że na pewno nie jest człowiekiem starym, ale w pełni sił, w całym rozmachu pracy naukowej. Musi być uczonym aktywnym, takim, który nie śpi na laurach, ale rozbudowuje własny warsztat. Dlatego też zamknięto mu ten warsztat i opieczętowano. Żelazna konsekwencja każe nadto zamknąć go w kraju, internować pod względem naukowym.

Profesor Stanisław Kot. Holendrzy wiedzieli, do kogo się zwrócić. Jest to bowiem specjalista w dziejach naszych związków kulturalnych z Zachodem, znawca historii wychowania, fachowiec wyjątkowy w historii reformacji, historyk kultury. I właśnie o reformacji miał tam mówić. Przecież nie o polityce aktualnej! I nie o reformacji B-ci Jędrzejewiczów! Tematy wszystkich pięciu odczytów nie dopuszczają najmniejszej aluzji, najbardziej mikroskopijnej asocjacji czy wzmianki, nie mającej najściślejszego związku z samym zagadnieniem. Oto poszczególne tytuły: Stosunki Hugona Grotiusa z Polską. Prądy rewolucyjne w reformacji polskiej i ich związki z Holandią. Rzut oka na rozwój reformacji w Polsce. Przyczyny upadku reformacji w Polsce. Stosunki kulturalne Polski z Holandią w dobie renesansu i reformacji.

Holendrzy sami wybrali sobie te właśnie tematy, jako najbardziej im bliskie i interesujące. Prosimy nadto, aby w każdym mieście prof. Kot mówił o czymś innym, ponieważ w tym małym kraju dzienniki muszą mieć materiał różnorodny, taki, który się nie powtarza. Można

było jeżeli nie zdobyć, to przynajmniej spróbować poruszyć ten najtrudniejszy, zamknięty teren, jakim jest Holandia. Można było zainteresować najrozmaitsze środowiska, zachęcić do studiów, spopularyzować w kołach intelektualnych Polskę jako temat.

A tymczasem zawiadomi się ich, że odczyty, ściśle naukowe odczyty, nie odbędą się z powodu zakazu ministerstwa. Ciekawy jestem komentarzy... Prawdopodobnie zakaz ten także wzbudzi zainteresowanie. Dowiedzą się, że jest kraj, który nie chce, aby o nim wiadano na szerokim świecie, który własnym uczonym zabrania propagandy...

Gdy myślę o tym zakazie, coraz bardziej rozumiem celników krakowskich, którzy kostiumy do sztuk Mari-veaux i Moliera potraktowali jako zwyczajną kontrabandę... W każdym razie coraz mniej dziwię się tym celnikom. Bo też oni mniej nas skompromitowali niż ów zakaz.

\* \* \*

Hm, prof. Kot brał wcale żywy udział w słynnym proteście brzeskim profesorów polskich wszechnic.

Ale tenże sam protest podpisał m. in. i dzisiejszy minister oświaty, co skrzętnie zanotowano w tajnej karto-tece, prowadzonej w ministerstwie przez pewnego kapi-tana...

Zabawne, prawda?



# GRONKOWIEC ZŁOCISTY

## CZYLI

# POTEĘGA MEDYCyny

(TYLKO DLA LUDZI O STAŁOWYCH NERWACH. CZYTAĆ  
W DOBRĄ GODZINĘ PO ŚNIADANIU).



Na przekór pięknej nazwie nie jest to motyl ani odmiana storczyka, przeciwnie, pod tym barwnym, poetyckim imieniem występuje nader złośliwe zwierzę. Gronkowiec, po łacinie *staphylococcus*, jak wiadomo powszechnie, może być złocisty albo też biały, względnie żółty, zależnie od pozycji społecznej chorego, jego dochodów, inteligencji itd., itd. Mój, oczywiście, był złocisty. Aureus. Lecz nie o to idzie. Problem polega na tym, jak pacjent powinien zachować się podczas choroby, jakie posiada prawa i obowiązki. Czy wolno mu w ten interes zaangażować własną wolę, inteligencję, duszę, czy

powinien wiedzieć coś o istocie choroby samej, czy jego obowiązkiem jest współpracować z lekarzem oraz czy w ogóle ma coś do gadania?

Znakomity internista stuttgartarcki, a mój były profesor, Fahrenkamp, przesłał mi niedawno z miłą dedykacją, jako ulubionemu uczniowi, ostatnie swe dzieło, w którym precyzuje wzajemną relację lekarza i chorego, dochodząc do wniosku, że między tymi dwoma kontrahentami winien zachodzić „ein klares Arbeitsverhältnis“, czyli jasny stosunek pracy. W dalszym ciągu wartościowej księgi wielki uczony przeczy jednak samemu sobie, ponieważ poleca doktorowi badać pacjenta w milczeniu. „Według moich doświadczeń należy podczas badania unikać konwersacji z chorym“. Tylko w ten sposób pacjent uwierzy w to, że lekarz traktuje chorobę poważnie. Badanie chorego nie ma być jakimś wykładem, wprowadzanie zaś pacjenta w tajniki medycyny to gruba pomyłka.

Czy takie badanie przypadkiem nie przypomina śledztwa? Czy na tej drodze nie popełnia się zasadniczego błędu, oddzielając tzw. ciało od tzw. duszy? Czy nie jest się winnym grzechu głównego przeciw popularnemu „Leib-Seeleproblem“? Nadto, czy zwolna ginący, na każdym kroku przez specjalistów utracany typ doktora wszechnauk, typ lekarza domowego ma szczeznąć do reszty? Czy chory musi być przedmiotem parcelacji, wiwisekcji, oddając serce internście, ślepą kiszkę — chirurgowi, pęcherz — urologowi, nos — rhinologowi, nerwy — psychiatrze itd., itd., czy też, nawet w większych miastach uniwersyteckich, nie powinien zmartwychwstać poczciwy, dzisiaj w szczątkowej formie, właśnie jak wyrostek robaczkowy, występujący doctor medicinae u-



niversae, który ograniczając się wprawdzie czasami do życzliwego pomacania puls, do obejrzenia języka po macierzyńsku, do zdawkowo-serdecznego pytania o stołeczek, przecież traktuje pacjenta jako całość, zamiast posyłać osobno każdy jego organ komu innemu do analizy? Kto wie, czy właśnie czułe, dedukcyjne pytanie o stołeczek nie ma więcej kontaktu z wspomnianą duszą niż chemiczny rozbiór pacjenta, którego specjaliści traktują jako masę konkursową. Chory współczesny widzi konieczność pewnej centralizacji, konieczność powrotu od analizy do syntezy. „Tą syntezą jest żywy człowiek jako całość — syntezą niezakłóconą w zdrowych, zakłóconą w chorych dniach“. Tako rzecze mędrzec ze Stuttgartu, a mistrz mój, profesor Fahrenkamp.

Nie sądzę, aby liczni moi przyjaciele, krewni i znajomi lekarze-specjaliści, którzy nb. grosza ode mnie za kurację wziąć nie chcieli, aby oni właśnie mogli czuć się dotknięci następującym reportażem, na jaki zdobyć się może tylko klasyczny pacjent gratisowy — recydywista.

#### Osoby:

Doktor Ł.

Rektor L.

Prof. K.

Prof. E.

Prof. F.

Bakteriolog dr D.

Chemik dr D. II.

Lekarz R.

Przedsiębiorca pogrzebowy.

Lekarka dr Aniela.

Siostra Hiacynta.

Siostra Placyda.

Zakrystian.

Chłopiec z dzwonkiem.

Pracownica domowa z grypą.

Pielęgniarka I.

Pielęgniarka II.

Czterej sanitariusze z noszami.

Szofer Pogotowia.

Gronkowiec złocisty.

Medycy, służba, lud, bractwo zakonne.

Ja.

(Dekoracje według projektu firmy Wolny. Tańce w układzie św. Wita. Ilustracja muzyczna Z. O. Z.).

#### Scena I.

(Podnosi się kurtyna z gazy opatrunkowej. Umeblowanie skromne, ale dostatnie, tyle ile potrzeba, żeby pokrajać żywcem człowieka. Na środku prosty stół operacyjny bez żadnych ozdób. Narzędzia tortur trzymają siostry miłosierdzia. Na ich twarzach sterylizowany uśmiech. Kilku lekarzy w bieli statystuje intensywnie. Nad wszystkim unosi się dyskretna woń eteru. Atmosfera przytulna. Gemütlich. Trochę czuć nieboszczykiem).

*Doktor Ł.* Serwus, Zygmunt, jak się masz? Pokaż, gdzie ci się to zrobiło! Aha, doskonale! Bardzo, bardzo efektowne... Przyszedłeś o jakieś 24 godziny za późno, ale to głupstwo. No, rozbieraj się bez gadania! Oczywiście, przez miesiąc byłeś na urlopie i nie pisałeś felietonów, czyli twój wrodzony jad musiał się któreś wyładować... Zrozumiała reakcja! Kładź się i nie gadaj tyle! Ręce, ręce! Siostro Hiacynto, związać mu ręce! Spokojnie, Zygmunt, i nie gadaj tyle! Mam wiadomości,

że Jędrzejewicza posyłają na wystawę do Paryża, budują dla niego pawilon... Czy siostra Placyda już skrepiła nogi? Mocniej, mocniej, na ostatnią dziurkę! Wczoraj było w „Tempie Dnia” — ale to ściśle poufne, że Janusza Jędrzejewicza — proszę mi podać nóż, ale z tych tępszych — że go wzięli na fundusz, mianowicie na Fundusz Kultury Narodowej... Aha, żebym nie zapomniał! Co to ja chciałem powiedzieć? Już wiem: nie denerwuj się, Zygmunt! Widzisz, że ci nic nie robimy... Oddychaj głęboko i nie gadaj tyle! Śpi? Twarda jucha... Wiesz, że Kot przecież postawił na swoim. O, to charakter! Wszystkie cztery odczyty holenderskie wygłosił w „Patrii”... Nawet bisował. I zaraz potem oboje księstwo wyjechali... Oddycha jeszcze? Zygmunt, staraj się nie myśleć o niczym! Niech ci się zdaje, że piszesz felieton... Widzisz, że cię będę tylko krajał... No, już śpi!

*Ja* (płynąc na wznak w nicość stylem dowolnym, w grubym negliżu, li tylko z maską na twarzy). O, pierrrrronie!

*Doktor Ł.* Może się mylę, ale przecież mi się zdaje, jakby on jeszcze coś czuł...

*Ja* (skacząc na głowę w nirwanę). Owszem, słusznie ci się zdaje!

*Doktor Ł.* Neurastenik!... Histeria acuta! Jeszcze trochę eteru. Jazda!

*Ja* (już czterema nogami w zaświatach, piano, z ekspresją). Psiakrrrrrrrrr...

*Siostra Placyda* (łagodnie). Może by jeszcze kilka kropel? Gotów napisać coś w Kurierku...

*Doktor Ł.* Niech spróbuje! Przez tydzień ani rączką, ani nóżką...

---

*Ja* (po długiej pauzie). Och, tak dobrze mi było! Nie macie państwo pojęcia, jak przyjemnie tam, skąd wracam! Kto wpadł na taki kiepski koncept, żeby mnie zbudzić? Gdzież jestem?

*Doktor Ł.* Możesz mówić? To nie mów jeszcze nic. No, gotowe! I, ciebie w tym kierunku nie trzeba zachęcać, jednakże alkohol, przy takim zakażeniu, jak twoje, bardzo jest wskazany. Nawet w ilościach dowolnych! Nie żałuj sobie!

*Ja* (zupełnie zbudzony, tonem radosnym). Wskazany?! Daj mi to na piśmie!

(Wkracza 4 sanitariuszy, zapada kurtyna z gazy...)

## Scena II.

(Dom własny. Umeblowanie skromne, lecz na raty. Wysoko nad wezgłowiem kwaśny wawrzyn. Podręczna gromnica. W rogu duża siostra miłosierdzia. Łóżko bardzo „moderne“, rodzaj tapczana-trumny. Odzywa się telefon).

*Ja* (słabym głosem). Hallo?... Tu nie jest kancelaria mecenasa Spiry! (p. p.) Pan mnie także!...

(Siostra miłosierdzia przesuwa w milczeniu różaniec. Ponowny telefon).

*Ja* (podniecony). Hallo?... Moje uszanowanie panu rektorowi!

*Rektor L.* Panie Zygmuncie, czy to prawda, że dał się pan krajać?

*Ja.* Może nie dałem się, ale mnie pokrajali...

*Rektor L.* Cóż za nonsens! Tylko jak najdalej od chirurgów! Niechże pan nie słucha niczyich rad, bo każdy mówi co innego. A drożdże pan bierze?

*Ja.* Jeżeli pan rektor radzi, mogę brać!... Jest mi wszystko jedno...

*Rektor L.* Stanowczo proszę brać od jutra! Codziennie deko na czczo. Do roku jak ręką odjął... I, powtarzam, trzymać się jednej linii, nie słuchać byle kogo! Tylko drożdże! Dobranoc! A jakieś tam hodowanie szczepionek to bujda!

*Ja.* Dobranoc! (d. s.). Drożdże?! Hm, a może lepiej Oetkera?... (Telefon).

*Ja* (głosem coraz słabszym). Hallo?... Nie, to nie jest kancelaria mecenasa Landaua, tu kancelaria mecenasa Spiry. Pan mnie...

*Siostra miłosierdzia* (cicho, dyskretnie, tak, żebym nie słyszał). De profundis...

(Telefon).

*Ja.* Hallo?... Wyjątkowo nie pomyłka. To ja. Dobry wieczór pani! Ach, mam wyhodować sobie bakterię? Mogę, wszystko mogę, jeśli pani na tym zależy!

*Doktor Aniela.* Szczepionka bezwarunkowo! Ulgi nie przyniesie najmniejszej, ale może poprawić samopoczucie. A co pan zażywa?

*Ja.* Oetkera, tj. chciałem powiedzieć, drożdże.

*Doktor Aniela.* Szaleństwo! Nigdy drożdże, raczej siarkę! Słyszysz pan, tylko siarkę!

*Ja.* Dla pani wszystko! Niech będzie i siarka. Od jutra deko codziennie.

*Doktor Aniela.* Więc siarka i dwanaście zastrzyków zawiesiny „neo-dmesta“... Aha, i pan ma kuzyna lekarza. Otóż nigdy nie należy leczyć się w rodzinie. To najgorszy system. Ani w rodzinie, ani za darmo! Oczywiście, ja od pana grosza nie wezmę... Analizę panu robili?

(Siostra miłosierdzia wychodzi).

*Ja* (bezwolnie). Mogą zrobić, owszem.

*Doktor Aniela*. Dobranoc! Alkoholu ani kropli. Broń Boże!

*Ja* (zamykając powieki). Broń Boże...

*Siostra mił.* (wraca, n. s.). Accipe animam Sigismundi...

*Ja*. Na drugie mi „Jan“, siostró! Żeby nie było pomyłki... (Telefon).

*Ja*. Hallo?... Nie, to nie jest firma „Poljajo“, to jest firma „Polczyrak“! Pan mnie...

*Siostra mił.* In paradisum...

(Telefon).

*Ja*. Hallo?... Sługa profesora!

*Prof. E.* Nie zbudziłem przypadkiem?

*Ja*. Cóż znowu! Do mnie ludzie jak do zegarynki... Słucham?

*Prof. E.* Nie wtrącam się, nie krytykuję nikogo, ale pańska kuracja jest na jak najfałszywszej drodze. W takich wypadkach należy tylko postawić bańkę!

*Ja*. Bańkę? Doskonale, już się robi!

*Prof. E.* Zwyczajną bańkę. Bolesne okropnie, jednak leczy radykalnie. Ja to stosowałem w wojsku na artylerzystach podczas manewrów. Chłopy niczym dęby, a płakał każdy jak bóbr. Ale ten ostry ból trwa najwyżej dziesięć godzin... Pomęczy się pan tylko do rana. Życzę spokojnej nocy!

\* \* \*

O 7 rano zadzwonił do mnie kuzyn, kuzyn-lekarz, mówiąc, że za kwadrans przyjedzie po mnie i zabierze do kliniki.

— Jesteś na czczo?

— Prawie... Tylko deko drożdży...

— Oszalałeś? Drożdże? A czemu nie siarkę?! Jeszcze tego brakowało! Albo słuchasz mnie we wszystkim i wtedy ja biorę odpowiedzialność, albo rób, co ci się podoba! Przede wszystkim masz iść do rentgena oraz przepłukać sobie żołądek. Dla pewności niech ci zrobią analizę na cukier i każ sobie wyhodować bakterię! A daj także krew do zbadania! Z twarzą pójdiesz do skórniaka, niech ci to obejrzy! Przydałby się i internista, bo w sercu są trzaski, jak w heterodynie! A te dwa kawałki przetną ci w szpitalu. Już tam telefonowałem. Tyle na razie!

— A cały, cały mam iść do kogo? Do Bozi?!

— Do psychiatry!... O 8 zajedzie auto!

\* \* \*

O 8.15 wystąpiło coś, co można by nazwać nie tyle rozdwojeniem jaźni, ale jej rozczapierzeniem. Synchronistyczny rozwój wypadków da się przedstawić następująco: w odległej dzielnicy Krakowa przyjaciel-chirurg kładł mi maskę na twarz, mówiąc: „Nie denerwuj się, bo cię będę tylko dwa razy krajał...“, równocześnie zaś felczer z bańką pukał do wrót mego domu, a ręka znajdowała się na przeciwległym krańcu miasta, gdzie brano z niej krew do analizy. Pewną część ciała iluminowano u rentgena, twarz smarował papką ichtiolową specjalista-białoskórnik, pozostałe organy wywędrowały gdzie indziej, dusza zaś stanowczo odseparowała się od zdekompletowanego ciała i zajął się nią psychiatra, czyli jedna z czterdziestu dramatis personae, zatrudnionych w tej tragedii.

I już do gabinetu neurologa przyszła nowina, że wyhodowano mi gronkowca złocistego. Wiadomość ta nie

sprawiła na mnie większego wrażenia. Patrząc mętym wzrokiem na psychiatrę, spytałem nieśmiało, czy mogę brać drożdże. On zaś skinął na sanitariuszy, którzy włożyli mi dziwaczną piżamę, o rękawach przypominających wyloty kontusza.

— Drożdże?! — rzekł psychiatra. — Pan zwariował! Tylko wapno...

\* \* \*

Wszystkim, którzy w czasie choroby nie szczędzili mi życzliwej pomocy i rady oraz opiekowali się mną w nieszczęściu, a więc profesorom X., Y., Z., Lekarzom, Asystentom, Siostrom miłosierdzia, znajomym, krewnym i pobożnej publiczności składam na tej drodze staropolskie „Bóg zapłać!“.



# MOKRA ROBOTA



Wcale nie o chirurgach i internistach moich, jak przed tygodniem, tylko o największej zbrodniarce, jaką znam ze sceny polskiej. O wspaniałej zbrodniarce en gros, o hurtownej i detalicznej morderczyni, o wielkiej recydywistce. P. T. Czytelnicy, skąpiemy się w morzu krwi, bo, jak z pewnością domyślacie się, mówić mam o genialnej tragiczce, p. Stanisławie Wysockiej. I zaledwie podyktowałem to nazwisko, lęk przeszył mnie na wylot, a jakiś wewnętrzny rozkaz stanąć mi kazał na bacność. Wyprężyłem się jak rekrut. Przed Nią, przed tą bajeczną aktorką i przed tym wielkim emerytem zaborczym, jakim jest teatr krakowski.

Dyktuję a w uszach tętnią mi słowa, dzwoni głos: „Do broni! Do broni!“ To woła Pallada! Krzyk przeciągły, donośny, potężny, od którego wibrują ściany gmachu przy placu św. Ducha. Apel ten wypełnia scenę i widownię, kołysze żyrandolem, rozsadza budynek, a za chwilę wywali futryny i buchnie płomieniem. „Do broni! Do broni!“ Gdy spoglądam wstecz, gdy słucham ciągle żywego echa, wydaje mi się, że przy tyłu pośmiertnych odznaczeniach, które spadły na polskie szkoły czy uniwersytety, patrzyłaby się przecież jakaś Polonia restituta lub Krzyż Niepodległości teatrowi przy kościele św. Krzyża. Właśnie za krzyk „Do broni! Do broni!“ Za krzyk Pallady-Wysockiej.

Lecz dłużej nie będziemy tak górnie gadali. Może najpierw drobny epizod, który wprowadzi nas w samo sedno zagadnienia i zbliży do tego przerażającego zjawiska, któremu na imię Wysocka. Przed jakimiś trzydziestu laty grano we Lwowie wiwiskcyjną sztukę Wedekinda pt. „Demon ziemi“. Nerwy tłuczone w mózdzierzu, wypruwanie bebechów publiczności. W ostatnim, zdaje się, akcie drobna, filigranowa aktorka p. T. miała, stosownie do okrutnego tekstu, zastrzelić Żelazowskiego. Był to zaś bohater na schwał, mąż ogromnego wzrostu. Niestety, rewolwer teatralny (Kanalnia! Jakżeby też mogło być inaczej...) starym, odwiecznym zwyczajem nie wypalił, sytuacja zaś jest tego rodzaju, że bohaterka musi, ale to bezwarunkowo musi położyć partnera trupem. A ta przedwojenna spluwa, buldog czy też parabellum z epoki kamiennej zastrajkował!

Od grozy tylko jeden krok do śmiechu. Już, już widownia jest pod gazem rozweselającym, gdy Żelazowski spróbował przecież uratować finał i znaleźć takie happy

end, aby obeszło się bez większego gaudium. Więc niby to pod grozą lufy przyłożonej do piersi wycofał się dramatycznie w kulisy, mając nadzieję zginąć niejako zadowolony, już poza obrębem sceny od jakiegoś zapasowego rewolweru. Ale tradycji stało się zadość i drugi rewolwer odmówił posłuszeństwa.

Od czegoż jednak płodna inwencja? Partnerka, zmieniając odrobinę treść sztuki, wróciła na scenę sama i szeptem mrozącym krew złożyła wobec rozbawionej publiczności ni mniej ni więcej tylko następujące zeznanie: „Uduśliam go!“ Nikt nawet przez grzeczność nie chciał uwierzyć, publika pękła ze śmiechu na dwoje i nie dała się już zlepić do kupy. „Tom się ubawił“ — mówił jeden widz do drugiego. Powtarzam, dusicielka kalibru tanagryjskiej figuryńki, ofiara — 1 m 90 cm.

Gdyby w analogicznej a przykraj sytuacji znalazła się p. Wysocka i zaimprovizować musiała krótki monolog o przymusowym uduszeniu sążnistego partnera, nikomu nie przysłoby nawet do głowy uśmiechnąć się, a prawdopodobnie wszystkich dwudziestu widzów zemdlałoby z wrażenia. Bo p. Wysocka jest aktorką, której alibi nikt nie kwestionuje, aktorką, której wierzy się zawsze. Nie jestem zresztą pewny, czy nie udusiłaby Żelazowskiego naprawdę.

Boję się tego tematu. Po kościach idzie mi mrowie, a wiem, że tej i następnej nocy nie zasnę. Śnić mi się będą wszystkie wielkie role Wysockiej. Gdyby jakaś specjalna policja prowadziła kartotekę przestępstw, zbrodni, matko-ojco-dziecio-mężo-bójstw, wylupień oczu, podpaleń itd. itd., dokonanych na scenie, sądzę, że p. Wysocka gładko wzięłaby rekord. A wszystkie jej zbrodnie były na serio. W 90 proc. zamordowanie kogoś na scenie

jest epizodem śmiesznym, a nóż czy puginał rekwizytem raczej komicznym. Śmierć wywołuje w wielu wypadkach pochlebny ryczek na widowni, trafiają się zaś czasami bądź u Szekspira, bądź u Słowackiego nagłe zgony i zejścia, którym towarzyszą nierzadko rześiste brawa.

O, weźmy takiego „Mazepę“. Rzec dzieje się przed laty w Poznaniu w teatrze Rygiera. Na scenę wnoszą trumnę ze zwłokami Zbigniewa. W pierwszym rzędzie siedzi wielki amator teatru, z fachu rzeźnik. Na widok trumny wybuchnął serdecznym śmiechem i mimo protestu publiczności nie przestał ryczeć aż do końca.

Gdy litościwa kurtyna spadła, pyta go ktoś: „Panie, czyś pan zwariował? Z czego się pan tak śmiał? Przecie to ale scena poważna! Zaś trumna...“ Rzeźnik dostaje nowego paroksyzmu śmiechu i bliski apopleksji odpowiada: „Zaś, panie, wszyscy myśleli, że w tej trumnie jest Andruszewski, ja ale jeden widziałem go pić piwo, bośmy w antrakcie skoczyli z nieboszczykiem naprzeciw do probierni... A wszyscy byli pewni, nieprawdaż, że on został leżeć w trumnie, nieprawdaż?... Pusta była, słowo honoru daję!“

Gdy p. Wysocka wchodzi na scenę w jakiejś tragedii (o komediach pomówimy jeszcze), uśmiech zamiera na ustach widza, który wie, że to nie przelewki. Jeżeli zaś przelewki, to chyba... krwi. Transfuzja. Nóż w Jej rękę nie jest martwym rekwizytem, ale przedmiotem ostrym i z reguły śmiertelnym. Na ogół przedkłada rany klute nad cięte czy szarpane. Uderza zawsze tylko raz, ale nieomylnie. Przy tym równie biegła jest w wyborze trucizn, od antycznej cykuty poczynając, a skończywszy na talu, który stanowi ostatni krzyk mody w tej dziedzinie.

Jeżelibyśmy zgromadzili wszystkie „lica czynu“ p. Wysockiej, rusznikarz czy nożownik mogliby z tego założyć porządny magazyn, a zakład medycyny sądowej z PP. Wachholzem i Olbrychtem na czele oraz z biegłym Grzywo-Dąbrowskim mieliby pełne ręce roboty. Wydaje mi się, że już debiut Jej był od razu kąpielą w krwi. Toteż p. Wysocka stosuje ów jak gdyby kosmetyczny zabieg po dziś dzień, może właśnie dzięki temu zachowując siłę, młodość i niesłabnącą potęgę.

Gdy mowa o zabijaniu, stwierdzić wypada, że ta szampionka ciężkiej wagi zawsze jest w formie, nigdy nie wygrywa na punkty, lecz już w pierwszej rundzie zwycięża przez techniczny knock-out. Zdarzało się, że młody a stremowany partner oddawał jej zwycięstwo przez walk-over. Wkrótce wystąpi w Krakowie jako Lukrecja w „Beatrix Cenci“. Radzę P. T. Publiczności już teraz profilaktycznie stosować bromural czy inne środki uodparniające nerwy. Byłem przed laty sędzią przysięgłym w sprawie karnej o zabójstwo starego Cenci i na samo wspomnienie do dziś dnia zgrzytam zębami ze strachu.

Pono tragedia budzić ma w nas uczucie grozy i litości. P. Wysocka (kajam się z powodu tych słów bluźnierczych) spełnia zadanie tragedii może tylko do połowy, budzi mianowicie przeważnie samą li tylko grozę, rzadziej natomiast litość. Lecz zjeździwszy sporo świata, a napatrzywszy się aktorom i aktorkom, nie znajduję nikogo, kto by Jej dorównał, kto by wart był zapiąć Jej rzemyk u koturna. Być może, właśnie w tym wielkość Wysockiej, w tym Jej indywidualność.

Sztuka naszej genialnej tragiczki to wstrząs, to prąd stały o sile miliona wolt, to coś, co sprawia, że każdy —

nawet po cenach zniżonych, nawet za kartką — fotel w teatrze jest niejako fotelem... elektrycznym. Wiemy, że czeka nas krótkie śpięcie. Groza nie wyczerpuje treści tajemniczego wulkanu, oznaczanego na afiszach jako Stanisława Wysocka. Nb. na drugie imię powinna mieć „Etna“. Patrząc na Jej grę, wiemy, że czeka nas coś nieuchronnego, coś, przed czym nie da się uciec. Naturalnie, fatum, los, mojra. Gdy myślę o p. Wysockiej, a myślę o Niej zawsze z trwogą, — staje przede mną korowód mar, upiorów, Erynij, Ker, Meduz, Harpij, Eumenid itd. itd.

Lecz takie postawienie sprawy zanadto upraszczałoby problem, skracając wielką aktorkę o połowę. Nie mam zamiaru w dzisiejszej gawędzie analizować fenomenu Wysockiej, lecz podnoszę ręce do góry i poddaję się. Wracam do postawy na baczność. Wyrasta przed oczyma seria scen wielkich, z reguły tragicznych, ale pięknych, które głęboko zapadły mi w duszę. Pamięć galopuje. Pierwszy raz... Oto pacholęciem jeszcze będąc, obiełem na Szpitalce „Botanikę“, aby oglądać „Bolesława Śmiałego“. Minęło lat 30 z górą (sobie to wypominam, li tylko sobie zaprawdę, nie Jej) i widzę, jak niewierna żona:

Leci tu, biegnie tu.

Wzrok u niej obłąkany.

Zdarta na niej koszula.

Ucieka przed kimś, ktoś ją goni...

Sprzedaję natychmiast „Liturgikę“ jakiemuś mniejszościowemu bibliofilowi, aby zobaczyć Jördys z „Ryccerzy Północy“. Elektry Sofoklesa opłacił mi Korneliusz Nepos, Elektry nr II, hofmannsthalowską, widziałem za cenę „Mineralogii“, dla Judyty z „Księdza Marka“ spuściłem „Wypisy polskie“, „Deutsches Lesebuch“ trzeba

było opylić za noc spędzoną z Judytą Hebbłą. Nie jem przez tydzień drugiego śniadania, żeby sobie zafundować „Ucztę Herodiady“, kradnę, aby opłacić bilet na „Makbeta“, zabijam — no, to już lekka przesada... W każdym razie przez p. Wysocką staczam się coraz niżej i w drugiej połowie roku szkolnego nie mam już ani jednej książki. Właściwie Ona zmarnowała mi życie! Ale wybaczam to przez pamięć najgłębszych wzruszeń.

Pierwsze nasze spotkanie odbyło się w warunkach raczej niekorzystnych. Poszarpała na mnie ubranie, ja zaś byłem zmuszony przewrócić Ją na ziemię i zatkać przemocą usta. Gdy to zrobiłem raz, p. Wysocka ofuknęła mnie szorstko, mówiąc: „Wróć! Żle! Dlaczego się pan mnie boi? Mocniej!“ — „Nie boję się — odrzekałem z tremą w głosie i w ogóle — tylko nie chcę pani zrobić sińców!“ — „To nie pańska sprawa — huknęła — niech pan nie markuje!“. Zachęcony, powtórzyłem atak z większą werwą i po skończonej scenie zadałem pytanie, czy tym razem było dobrze. „Za dobrze!“ — odpowiedziała Wysocka, pokazując sińce na obu rękach. A to była tylko próba z mojej strony, próba, która wieczorem zmieniła się w rodzaj meczu towarzyskiego. (Celem uniknięcia nieporozumień, dodaję, że była to scena Jewdochy i Natana z „Sędziów“).

W owych latach p. Wysocka była już reżyserem. I to jakim. Reżyserem, który przychodząc na pierwszą próbę, ma cały egzemplarz w małym palcu. O ile się to da powiedzieć o palcach p. Wysockiej. Żelazna to ręka! Tyran, despota, Bereza, wyznawca oświeconego wszystkimi reflektorami absolutyzmu, satrapa! Imperatyw kategoryczny w spodnicy. Albo jeszcze lepiej — reżyser totalny. Duce, Stalin, Kemal Pasza. Słowem, Herod baba.

Klęliśmy na Nią bardzo i miotali najgrubsze wyrazy. Ale co najmniej w tym samym stopniu szanowaliśmy Ją. Bo też to reżyser, który ostatnią parę wyciągnął z człowieka. Sam nie znając zmęczenia, u innych go także nie toleruje. A już jak zobaczy talent u młodego aktora (u mnie go zaraz zobaczyła przez mikroskop), to wymaga tym więcej. Gdyby Z. A. S. P. pozwalał, nie gardziłaby chłostą.

Ale sukcesem młodych cieszy się o wiele bardziej niż własnym. Potrafi tak wypieścić każdy młody talent, że skóra kawałkami odpada. Nawet, gdy beszta, mówi przez nią miłość teatru. Co więcej, to reżyser wyjątkowo konsekwentny, który ma na oku przede wszystkim całość spektaklu. Czuje ruch, dynamikę, rytm słowa i rytm ciała. Jest śmiertelnym wrogiem rutyny, szablonu. Przepada za scenami zbiorowymi, dokonując masowych egzekucyj. Wróciwszy z Rosji, umiała głęboko przetrwać rzeczy widziane w Moskwie u Stanisławskich, Wachtangów, Tairowów czy Meyerholdów, zamiast podawać je na surowo, w niewolniczym naśladownictwie, co, niestety, tak często spotyka się u nas.

Ażeby już raz skończyć z surową krytyką, muszę uderzyć w hymn, docieram bowiem do rzeczy najbardziej osobliwej. Oto przyszedł czas, gdy p. Wysocka dokonała obrotu o 180 stopni. Nagle wyszło na jaw, że ten monolit tragiczny, że ta eumenida z profesji, potrafi nie tylko zagrać kapitalnie rolę komiczną, ale za błysnąć promienną dobrocią, sercem, uśmiechem. I, do prawdy, nie wiadomo, w których rolach jest lepsza: czy tam, gdzie zabija, dusi, truje, oślepia, czy tam, gdzie nagle z Klitajmnesty robi się czarująca babunia. Na tym fakcie wywraca się arystotelesowska teoria tragedii. Z ról



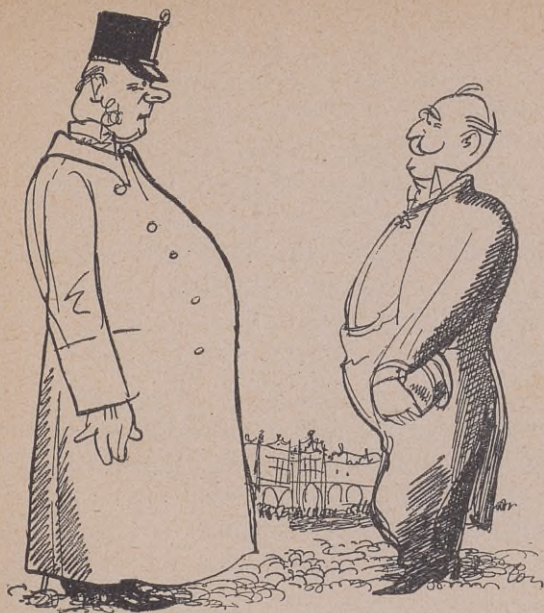
komicznych splywa ku nam swoiste katharsis: oczyszczeni jesteśmy z uczucia lęku, patrząc, jak p. Wysocka umie nas bawić, wzruszać i śmieszyć.

W porę umiała zarzucić oręż. W ręku zamiast śmiercionośnego noża ma druty, którymi — och, już nie wykłuwa oczu sędziwej matce Aliny i Balladyny — nie, po prostu dzierga pończochę czy pullover. Zamiast mokrej — koronkowa robota. Zamiast dusić Otella, nuci kołysankę wnukom. Przesuwając paciorki różańca snuje się po domu nie w koturnach, lecz w przydeptanym pantoflu. W pucharze, w którym przywykliśmy widzieć szybko działającą cykuteę, pieni się pachnący, złoty miód.

Jak wypełnił się ten szkic robiony sangwiną, jakich nabrał barw i rumieńców życia! Ileż w nim prawdy, prostoty, ile wdzięku! Ile wielkiej, prawdziwej sztuki!



# WYPOMINKI ZABORCZE



O c. k. Galicji pisać będę. O Galicji i Lodomerii wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim, Księstwami Zatorskim i Oświęcimskim. Dawne i niedawne poruszę dzieje.

Gdy w roku Pańskim 1868 przyjechał do Krakowa aż z „Widnia“ sam minister sprawiedliwości, Jego Ekscelencja Edward Herbst, powitał go przemową b. prezes apelacji, dr Piotr Bończa Bartynowski. Jako Polonus wygłosił tę przemowę po... łacinie. Do austriackiego ministra nie chciał mówić po niemiecku! Bo uważałby sobie za dyshonor gadać po szwabsku w polskim Krakowie. Zmieszał się nieco Jego Ekscelencja pan minister, zwłaszcza, że już trochę zapomniał łaciny. Ale Bartynowski w dalszym ciągu także i całą rozmowę

prowadził w języku starożytnych Rzymian... Pyszna scena!

Ten dr Piotr Bartynowski, prezes apelacji, profesor U. J. i tegoż uniwersytetu kurator, wydaje mi się być protoplastą „zaborczych“ urzędników z byłej c. k. Galicji. Do ministra nie chciał po niemiecku mówić!

Oczywiście, było takich więcej. Np. tegoż samego roku zaszedł w sądownictwie krakowskim wypadek niemniej ciekawy, a może jeszcze bardziej charakterystyczny. Oto Leonard Łukaszewski, ekspowstaniec i ekswięzień, zamianowany sędzią przy sądzie powiatowym karnym, objął urządowanie w ten sposób, że na pierwszą rozprawę przyszedł w czamarce, konfederatce, w polskich butach. Do c. k. sądu! Można sobie wyobrazić efekt! Cały Kraków, szczególnie młodzież akademicka dała folgę takiemu entuzjazmowi, że w rezultacie Leonard Łukaszewski „strafweise“ wyleciał z Krakowa i został przeniesiony jako c. k. auskultant sądowy do Brzeska. Niebywałe sceny rozgrywały się przy jego wyjeździe.

Sądzę, że gdyby ów Łukaszewski dożył szczęśliwie naszych czasów, zostałby także uznany za emeryta „zaborczego“. Chodziłby dzisiaj bez butów. A może chodziłby po prośbie?

Zresztą pisarzem czy aplikantem c. k. sądu był także i mistrz Jan Matejko. Ojciec zaś Juliusza a dziadek Wojciecha, Michał Kossak był c. k. mandatariuszem w Wiśniczu. I z takiej to rzekomo austriackiej, „zaborczej“ atmosfery wyszli wielcy artyści, skupiający w sobie może najwięcej rasowej polskości: Juliusz i Wojciech Kossakowie! Dwa najspanialsze okazy! Eksponaty rasy!

Od epizodów przejść wypada do rzeczy grubo ważniejszych. Do takich, które wykażą jasno, że o Polsce jako o całości nie zapominało się tu nigdy, że się jej nie tra-ciło z oka nawet na moment. Oto posiedzenie sejmu galicyjskiego w tymże samym roku 1868. Przemawia Smolka: „Królestwo Galicji i Lodomerii z W. Księstwem Krakowskim, będąc częścią organiczną dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, owej wielkiej indywidualności historyczno-politycznej, która przez 1000 lat spełniała i spełnia jeszcze znakomite posłannictwo w dziejach Europy, a chociaż wykreślona z rzędu państw samodzielnych, żyje pełnym życiem w gronie narodów, a należąc najkrócej do składu państwa austriackiego, najmniej podpada procesowi unifikacji, i bądź co bądź, odwołując się na swe prawo przyrodzone, nie podpadające żadnemu przedawnieniu, na podstawie tej wybitnej swej odrębności historyczno-politycznej i narodowej, której kraj nasz nigdy się nie zaparł“...

Jakżeż te słowa mocne są, twarde, nieustępliwe! Jak piękne! Wypłynął niedawno wniosek o nadanie Krakowowi krzyża Niepodległości, wniosek, który można by uzasadnić dalszymi słowami Smolki z tegoż samego posiedzenia sejmu: „Jestem tego przekonania, że Polska musi być, że musi być wzniesione owo przedmurze, bez którego Europa do równowagi, do swobodnego oddania się sprawom pokoju, umiejętności i cywilizacji przyjść nie może i nie przyjdzie“. Jak jasna i prorocza jest ta myśl! Ile w niej wiary niezachwianej! I gdzie poza Galicją padły publicznie takie słowa w owym czasie?!

Wypomina się Galicji słynne „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy“..., tymczasem myśl o Polsce jako całości przyświeca politykom galicyjskim spod znaku

Smolki zawsze i niezmiennie. Także i wcześniej, w epoce Wiosny Narodów Kraków staje na gruncie ogólnopolskim. Gdy wyjeżdża do Wiednia deputacja z adresem do cesarza, Kraków zastrzega sobie stanowczo, że adres musi być uzgodniony i przerobiony w porozumieniu z Poznańskim. (K. Bartoszewicz „Dzieje Galicji“). W dwadzieścia lat później, gdy Czesi proponowali Polakom kompromis, oświadczył Ziemiałkowski: „Będąc częścią polskiego narodu, nie możemy wchodzić w takie związki z jakimkolwiek narodem, które by przesądzały o przyszłości naszego narodu; do tego nie mamy prawa... organizm, do którego należymy, żyje i my jego życiem żyjemy i żyć mamy prawo“. Na jak daleką metę umiał ten człowiek przewidywać!... Nie chciał wiązać się z Czechami!

\* \* \*

Przeskoczmy teraz pół wieku od owych popowstań-  
czych lat. Jesteśmy w roku 1918. Inny obraz, który  
wskazuje, że nic się nie zmieniło, że myśl o całości jest  
ideą naczelną. Pokój brzeski. C. k. Galicja oszalała z gnie-  
wu i furii. Nie ma miasteczka, nie ma najmniejszej dziu-  
ry, gdzieby nie doszło do demonstracyj o charakterze  
buntu. Każdy wiec kończy się pochodem. W jednym  
z miast na czele pochodu kroczy w pierwszym szeregu...  
c. k. prokurator. Pochód ma dobrych kilka kilometrów  
długości. I co drugi człowiek w tymże pochodzie to au-  
striacki urzędnik. A tak było wszędzie, wszędzie!

(Nb. proszono mnie gorąco, aby przypadkiem nie wy-  
mieniać nazwiska tegoż do dziś dnia żyjącego prokurato-  
ra. Mogłoby mu to — zaszkodzić. Kto wie, czyby mu nie  
obcięto kilkudziesięciu punktów, jako emerytowi „za-  
borczemu“?)

\* \* \*

Przypomina mi się Piotrków z r. 1916. Okupacja austriacka, na której czele stoi pułkownik X. (Nazwiska nie wymieniam, bo są dobrzy Polacy i najporządniejsi ludzie pod słońcem, którzy podobnie się piszą). W k. u. k. Kreiskommando urzęduje sporo Galileuszów, z którymi jesteśmy w najlepszym i najserdeczniejszym kontakcie. O każdym kroku pułkownika zawiadamiają nas z góry. Kiedyś zarządził konfiskatę jakiegoś wydawnictwa legionowego i zanim przybył do drukarni, usunęliśmy wszystko i pochowali przy pomocy „austriackich“ urzędników z Kreiskommando. Nie znalazł ani świstka.

Oczywiście, ta nieudała konfiskata to drobiazg. Ważniejsza natomiast jest interwencja tychże Polaków w sądach polowych, przy rekwizycjach, przy ratowaniu mienia chłopskiego itd. itd. O tych sprawach zapomina się dzisiaj, choć nie były ani łatwe, ani bezpieczne do przeprowadzenia.

\* \* \*

Wspomniany pułkownik regułą nie był. Przeciwnie, był wyjątkiem. Ostatecznie, przecież nie skądinąd, lecz z szeregów austriackich oficerów wyszedł jeden z pierwszych polskich żołnierzy, postać — bez krzty przesady — piękna i świetlana, generał Zygmunt Zieliński.

\* \* \*

A teraz przejdziemy do listopada 1918. Zanim zjawili się notoryczni oswobodziciele, znalazł się pewien człowiek skromny, dziś żadnym orderem niepodległościowym nie świecący, i spławił błyskawicznie Austriaków spod Wawelu. Bardzo ułatwił sytuację swym efektownym następcom. Działo się to na 11 dni przed oswobodze-

niem Warszawy. Dziś temu urzędnikowi, jako emerytowi „zaborczemu“, obcięto emeryturę. Zaborczy? Może dlatego, że zabrał Kraków Austriakom?

\* \* \*

Gdy patrzymy na to, co dzieje się dookoła, mogłoby się nam zdawać, że państwo zmienia się coraz bardziej w jakąś spółkę akcyjną. Że rada nadzorcza uchwała taką dywidendę... E, wyjątkowo nie chcę szydzić! Dostaje stopy listów emeryckich, których sensem jest jakby wołanie Słowackiego: „Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!“... Czasem korespondentom nie zależy już na niczym innym, jak tylko na zadośćuczynieniu moralnym. Chcą tylko tego! Listy przesmutne, gorzkie, nasycone żalem niezmiernym, bezradne. Ludzie starzy, kopnięci brutalnie, wyrzuceni jakby poza nawias udziałowców Polski. Ludzie bardzo, bardzo biedni, tacy, których krzywdzić można bezkarnie. Przecież emeryci strajku nie urządzają.

Ale z dekretu o redukcji emerytur bije pod niebo ogromna krzywda. A krzywda jest cięższym, niżby się zdawało, balastem.

\* \* \*

Jakże rolę Galicji w dawnych latach ocenia ekonomista? Jak tu rządono, jak gospodarowano? Wielkopolanin, prof. Milewski, autor dzieła „Zagadnienia narodowej polityki“, pisał przed trzema dziesiątkami lat: „Stwierdziliśmy, iż umiemy rządzić się sami, pomimo szczupłości pozostawionych nam publicznych źródeł dochodu, że nam nie potrzeba kurateli“... Charakterystyczny sąd uczonego-Poznaniaka.

\* \* \*



Panowie Korespondenci „zaborczy“, jakże odpowiedzieć na Wasze listy? Chyba tak: jeżeli piszę niniejsze podzwonne, robię to jedynie dlatego, aby się Wam nisko pokłonić. Zdjąć kapelusz przed Waszą pracą porządną, solidną i pożyteczną dla Polski. Oby taką samą pracą choć w części świecili ci, którzy Wam odbierają i tak mizerne, starcze emerytury!

Wymieniłem na wstępie drobiazgi, epizody, praca zaś wasza była ciągła, systematyczna. I częściowo dzięki tej pracy Galicja stanowiła Piemont polski, była kuźnią. A może tylko... kuchnią. Ale i to nie bagatela, bo w tej kuchni gotowała się Polska.

Dla uzupełnienia obrazu polecam książkę Hulewicza „Udział Galicji w walce o szkołę polską“. Bo i gdzie kształciła się rewolucyjna, niepodległościowa młodzież z Kongresówki, jeżeli nie w Galicji?! I kto uchwalił w r. 1905 subwencję dla strajkującej młodzieży, jeżeli nie krakowska Rada Miejska?! Rada, której członkami z pewnością w 50 proc. byli... zaborczy urzędnicy austriaccy...

\* \* \*

Aby zaś nie brakło weselszego momentu w dzisiejszym felietonie, dodam, że zapał i gorączka redukowania ka-zały wciągnąć na listę zaborczych urzędników także i ludzi, zatrudnionych w... Polskiej Akademii Umiejętności. Tej akademii, która stała ponad zaborami, będąc widomym symbolem jedności całej Polski...



# ILIADA KREDENSU



Czy kelner jest człowiekiem? Czy nim być może? Oto pytanie!

Spędzając od wielu lat poważny odsetek wolnych godzin w rozmaitych lokalach, wątpiłem niekiedy raczej o tym, czy tzw. „gość“ jest zawsze człowiekiem, nigdy natomiast nie miałem najmniejszych wątpliwości na temat człowieczeństwa kelnera. Szacunku mego dla zawodu pracowników gospodnio-szynkarskich w niczym nie zmienił fakt, że młody kelner z krakowskiego Grandu wydał tymi czasy książkę pt. „Zakłęte rewiry“. To prawdziwa Iliada kelnerska. Iliada i Odyseja zarazem. O ile dość często trafiają się w ostatnich latach książki buchnięte z rozmaitych źródeł, o tyle z wspomnianego eposu kelnerskiego bucha talent jak z samej lokomotywy. Talent, który można by określić jako „Szamorodner“.

Autor, p. Henryk Worcell (pseudonim), wjechał do literatury polskiej na stu koniach. I co najmniej na ty-

siącu koniaków V. V. E. S. O. P. i milion gwiazdek! Gdyby szafarstwo urzędowych nagród literackich nie było nieustającą komedią pomyłek, gdyby szeroko zakreślony plan inwestycyjny nie preliminował na lata z góry jazdy laureatów, młody ekskelner powinien przyjść do mety w cuglach, zdobyć parę tysięcy, złapać złoty wawrzyn, a może, może niedługo przy najbliższym wakansie, jaki się tam otworzy, dostać miejsce dożywotnie w PAL-u wraz z emeryturą. Zwyczajem akademików naszych przestałby zaraz pisać... A byłaby rzetelna szkoda! Ale jakaż to amplituda kariery! Frak kelnera i frak akademika! Pyszny temat dla polskiego Flersa czy Cailaveta!

Prawdopodobnie człowiek ten uparty, o żelaznej woli i ambicji, budzącej szczerzy szacunek, da sobie radę sam, bez opieki naczelnych organów literackich, za książkę jednak świeżą, oryginalną, opartą na przepysznej obserwacji, napisaną z dużym poczuciem smaku, a musującą talentem i niepozabawioną pewnej swoistej doniosłości społecznej — patrzy mu się nagroda.

Przyjrzyjmy się bliżej temu faktowi: kelner, autentyczny kelner debiutuje w literaturze! W Polsce! Cóż za odwaga! Na gruncie piśmiennictwa bolszewickiego takie debiuty są czymś zwykłym, opatrzonym i graniczącym poniekąd ze szczególnego pokroju snobizmem. Należy to w Rosji do dobrego tonu, ale u nas? Przy tym „Zakłęte rewiry“, co trzeba z góry uczciwie zaznaczyć, nie mają nic wspólnego ani z sensacją à la Urke Nachalnik ani (przepraszam najmocniej p. Wojciechowskiego za to zestawienie!) z „Pamiętnikami robotnika“. To literatura w bardzo, bardzo dobrym gatunku. Na świeżym maśle. Połudwica. Nie zanadto wysmażona. Pół po an-

gielsku. Widać w niej krew. I może to ostatnie decyduje o wartości.

Gdy przed kilku laty aktor, Roman Niewiarowicz, wystąpił z komedią pt.: „Co z takim zrobić?“, przeznornie zataił autorstwo i swoją własną sztukę puścił na niepewne flukta jako dzieło Francuza, niejakiego Dionizego Decrès'a, tłumaczone na polskie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże! Imci Decrès był to... admirał z czasów Napoleońskich! (Patrz Petit Larousse str. 1260). Krytyka krakowska częścią pochwaliła, częścią ostro zganiła admirała, wypominając mu długi poczet „bulwarowych“ współczesnych komedyj, choć księciu Decrès nie śniło się nigdy o karierze teatralnej... Któryś z bardziej sumiennych i wnikliwych krytyków odkrył nawet wzory i wpływy, jakim admirał ulegał. I dopiero po tej próbnej jeździe na gapę Niewiarowicz puścił farbę. Obecnie zgrabna ta komedia już pod jego własnym nazwiskiem toruje sobie drogę w... Niemczech, gdzie ją wcale gorąco przyjęto.

P. Worcell wali prosto z mostu, nie pyta o nic. Trzymając w ręce powieść swą, brzęczącą, rozdygotaną, jak tacę pełną szkła, balansuje tą tacą, niczym zongler. Idzie naprzód. Nogą, jednym fachowym pchnięciem kolana, otwiera sobie wahadłowe drzwi do literatury pięknej. Lecz, zaiste, nie o samą beletrystykę idzie mi teraz. Ważniejsze to, że p. Worcell, również za pomocą wytrenowanego pchnięcia nogą otwiera przed naszymi oczyma wahadłowe drzwi kuchni, bufetu, piwnicy, kasy kontrolnej, spiżarni, kredensu itd. Jesteśmy w dziwnym świecie, którego istnienia, choć należymy do „sztamga-stów“, nie przeczuwaliśmy nigdy. Stajemy w progu, owiani wonią przeróżnych sosów. Niezwykły a w projekcji autora fascynujący świat! P. Worcell zdziera kurtynę i po-

kazuje nam ten świat pełen utajonych energii, krzyżujących się nawzajem ambicij, karier, pobojuwisko wybitnych charakterów, przede wszystkim splot intryg, wobec których nawet prowincjonalny teatr błędnie i przedstawia się jak cichy klasztor. Boże, jak się ten personal żre!

Wysocze utalentowany autor wyczarowuje przed nami królestwo kredensu, jego dynamikę wewnętrzną, jego skomplikowany mechanizm i jego duszę. Co więcej, jego... poezję! Przede wszystkim jego sekret. Bo na dobrą sprawę, cóż my, zjadacze chleba, wiemy o tym mikrokosmosie? Nic!

Wspaniały aktor, Jaracz, kapitalnie opowiada sposób, w jaki gość „staluje“ np. rozbratel. Smakosz musi omówić z kelnerem wszystkie szczegóły. Zatem czy mięso ma być kotletowe od przodu, czy kostkę zostawić, jak poszatkować cebulę, czy zarumienić czy cienko rozbić, czy rzucić na masło bardzo rozpalone... Jakie mają być ziemniaczki? Przysmażane czy też inne... I czy można dodać marcheweczki... Dialog trwa, ponieważ gość jest „gourmet“ i rzekomo zna się na kuchni, jak ów Smakosz u Fredry, który dysponuje:

...Parę zrazów ukrój mi do rynki,  
Dołóż mi masła, bułki, pieprzu i cytrynki,  
Postaw trochę na węglach i dawaj gorąco...

Tak właśnie postępuje żarłok w opowiadaniu Jaracza. Obaj z kelnerem dorabiają treść do ogólnego pojęcia rozbratla, wzbogacają zespół jego cech, nadbudowują osnowę, tworząc bogatą fabułę na kanwie tegoż rozbratla. Pourparler przeciąga się w nieskończoność, wreszcie jednak kelner, ustaliwszy wszystkie detale, kłania się, nogą otwiera wahadłowe drzwi kuchni i rzuca kucharzowi dwa krótkie słowa:

„Rozbratel raz“!

Tyle zostało z bogatej, rozbudowanej treści obstalunku! Zakres olbrzymi, obejmujący rozbratel w ogóle, rozbratel jako taki, rozbratel an sich — treść mikroskopijna. Rozbratel raz! Och, jakże nas bujają!

P. Worcell wprowadza nas w misterium kuchni. Jak Samentu z Prusowskiego „Faraona“ wiedzie nas przez labirynt. Uczy tajemnic. On, który przeszedł wszystkie stopnie, poczynszy od nowicjatu piccola aż do mistrzostwa łoży wolnokucharskiej. Dzięki niemu jakąś metodą introspekcji spoglądamy w głąb naszej przeszłości. Teraz widzimy, ile razy kelner „zrobił nam metra“, licząc nie gorzej niż Izba Skarbowa. Albo też ile razy, pod dobrą już datą będąc, piliśmy (o, naiwności!) pospolity jarzębiak miasto Martela gwiazdzistego! Wyjaśnia się nam wiele sytuacji, w których zabrakło nam gotówki, w których nabito nas w butelkę... Toteż czytelnik, traktując pewne rozdziały jako własną autobiografię, jako karty młodości górnej i chmurnej, dziwi się niepospolitej odwadze autora. Współwyznawcy mogliby go snadnie zgładzić, co spotkało właśnie wyżej wspomnianego Samentu. Za zdradę tajemnic zawodu.

Lecz to stanowi jedynie koloryt lokalny egzotycznego świata, w który wkraczamy. Artystyczna wartość powieści leży poza bogactwem obserwacji, poza kopalnią szczegółów. P. Worcell umie tchnąć ducha w martwe na pozór platery, nadać im życie, puścić w jakieś szatańskie płąsy. To sabat półmisków! Sarajzbanda talerzy! Stoły okryte w białe płachty obrusów urządzają sobie jakąś noc Walpurgii! Demonizm, siła sugestywna tych scen jest wręcz niesamowita!

Niemniej sprawy te należą raczej do krytyka, do fachowego recenzenta, który zapewne nie omieszka za

kilka lat w jakimś subwencjonowanym „Roczniku literackim“ podzielić się swymi wrażeniami z czytającym ogółem. Krytycy owi potrafią to robić z opętańczym pośpiechem, występując z recenzją już wtedy, gdy dana książka ma za sobą dwa albo i trzy nakłady. Jednak zajmą się książką Worcella z pewnością. Tak jak sprawą bicia piccolów, sprawą policzków, od których echa tętni cała powieść niczym prastara commedia dell'arte, zajmie się kiedyś urząd pracy i opieki społecznej. Wydaje mi się, że nawet w bardziej szanujących się sierocińcach mniej spotykamy sadyzmu! Jeżeli w scenach bicia i katorwania pikolaków jest bodaj połowa prawdy, władze mają obowiązek wkroczyć bezzwłocznie w ten rezerwat inkwizycji.

Sam wracam do pytania, czy kelner jest człowiekiem. Człowiekiem i gentlemanem. Autor odpowiada negatywnie. „Owszem, godność osobista, honor, ambicja, to bardzo ładne, ale nie dla kelnera“... „Etyka kelnerska — przynajmniej w tym ciasnym pojęciu — nie istnieje, albowiem grunt, na którym mogłaby się oprzeć, jest chwiejny“... Niezupełnie godzę się z autorem. Zresztą sprawa nadaje się do dyskusji na zebraniu związku zawodowego. Lecz przypomina mi się scena, jakiej świadkiem byłem stosunkowo niedawno w Paryżu. Młoda Polka, nie bardzo bita w utartych zwrotach francuskich, poprosiła o coś kelnera, mówiąc doń „Monsieur!“, na co kelner odrzekł: „Suis pas monsieur, mademoiselle, suis garçon!“. Więc nie jest panem, ale kelnerem. Rozmowa ta odbyła się w jakiejś restauracyjce podłe placu Bastylli .. — W demokratycznej Francji.

Inna scena. Warszawska „Oaza“ przed paru laty. Siedzi jakieś towarzystwo, zaśmiewające się z dowcipów



opowiadanych po rosyjsku. Któryś z tych panów stuka sygnetem o stolik, na co kelner zapytuje uprzejmie: „Proszę?” Gościa (mam na to świadków) o mało apopleksja nie trafiła z oburzenia. Jak to!? Kelner mówi „proszę”!? Kelner ma odpowiedzieć „służę”! Gość może powiedzieć „proszę”, ale kelner!? Coś niesłychanego!... Paryż i Warszawa. Ładny kontrast!

Oczywiście, gość z warszawskiej „Oazy” nie jest ani gentlemanem, ani człowiekiem. Zresztą był w miarę urzęnięty. Radziłbym mu przeczytać „Zakłęte rewiry” Worcella. Artystyczne walory pójdą na out, ponieważ ów gość nie potrafi ich ocenić, natomiast w książce przejrzy się jak w zwierciadle. I zobaczy siebie samego, tj. prostaka, chama.

Psychologia tzw. „gościa” w książce Worcella jest może jeszcze lepsza niż psychologia bogatej galerii kelnerów. I w tym wartość, na której autorowi z pewnością najmniej zależało: książka jest kursem dobrego wychowania. Gościa uczy form. Gościa dzisiejszego, który stosunkowo od niedawna zaczął odwiedzać restauracje, i tego przedwojennego, który tzw. służbę traktuje po ślachecku. Jak u siebie na folwarku.

W ten sposób p. Worcell niejako mimochodem oddaje wielką przysługę swoim dawnym kolegom po fachu, do którego chyba już nie wróci. Toteż kelnerzy nie powinni go zgładzić. Mówiłem, że z książki bucha talent. Na pewno. Ale bucha z niej także nienawiść do gościa. Do prostaka. Nienawiść ta ma pełne uzasadnienie.

Na wszelki wypadek radzę nie męczyć, nie nudzić, nie piłować tych spracowanych ludzi. „Stalując”, używajmy terminów prostych!

— Rozbratel raz!



# M A R C Y P O N

(FELIETON JADALNY, O ILE SIĘ GO CZYTA GŁOŚNO).



Dysc sik, jak mówiom w „Marcynie“, którym cytom, cytom i nacytać sie ni moge. Dysc bez kójca. Tako ciapa. Łobyrtłem sie w łyżku na drugi bok, a tu ftosi puko. Telegram z jasnego nieba! Znaloz mie na wsi! Z tyjatrzu w Krynicy, cobym przyjechoł zarosicko. Juści! Bede sie fyrtoł po Krynicach! Bede groł teroz kumedyje! Bede se gembe mazoł farbom! Psieścirwo! Rychtyk, pojade im!...

Muchy brzencom, a jo se myślę o tym tyjatrze i de-rechtorze. Niewiarowicz! Teli śpik, ledwo łod ziemi łodrós i juz derechtór! A jo mu kiedysik przepowiedzio-łem, ze ostanie derechtozem. To mi sie łodsecnkół, ze mie pirsego zaangażuje. Śpekulont! Penk-by, jakby do tego dosło!

Wienc dysc sik, muchy brzencały, a jo sie łobyrtłem znowu i zaconem w telo ciape myślę o tyjatrze. Hepło

mi sie wspomnieniami i jak Marcyna zatkołem se gembe renkom, zeby mi smak nie ucik... Tyjater, tyjater! Krynico! Teli kawoł casu! Azem stenknoł, tako mie załoś chyciła! W imiojca i Syna! Prasnać masynom, zawrzeć chałpe, wypiońc na wsyćko... i wio! Bo mie ciongnie haw ten tyjater jako no porwózku, a w sercu mom niby tempy kozik. Pogroć se kapke abo nie pogroć? Pise mi ten bajok, ten pendrok-derechtor, ze nocnik bede miół w Domu Zdrojowym... Hm, pojechać na filke? Łochwiarować sie? Wystompić jako „chłopok z Krakowa“? Moze Jada Sari spiwoć, jako „Dziwce z Szonca“, to locego jo mom być gorsy?

A kielo tez papirków dadzom? Fto jeich ta wi? Ludzi sie zwoli do tyjatra i bedom sie gapić na mnie, jak na cejco! Jakby beło na co. Cistko, ze i palica nie wetknie! Powinien doć z 15<sup>0</sup>/<sub>0</sub> łod wieczora. Choćby łumieroł, nie popusse! Jakoz on se rachuje? Pom Bóg widzi, com wort 15<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, jak letkiego skonanio pragne!

Hepło mi sie drugi roz wspomnieniami. Dysc cion pomaluśku ło syby. Chmurzyska cienzkie wolily bez niebo, a mie ten tyjater za gordziel ułapił. Jakby mi fto patyk hań wetkoł. I zaklonem na ten telegrom, psia-para! Łogiń buchnył na mie, kie mi w łocach stanęła scyna... Pamientom — prowde mówie, jak pragne z Pon Jezusem łumirać — bez mała dwaścia lot temu abo i mni, chłopok byłem śwarny i grywołem w Krynicy takich, co tylko za dziouchami sie włóco. Spotko jedno cy drugo, zaroz ka przyciśnie i bonka zrobi. Jamant, bestyjo! Grołem takiego hycła w „Scenściu Frania“. Malorz. Niby lekcyje dawoł, a złobracoł dziouche i potym pedo, ze sie nie bedzie zenił, bo juz mo babe. Skoranie boskie! A w drugij śtuce zaroz to samo zrobi!

Zodny nie przepuści! Nic, ino dziouchy! Jamant, psieścirwo! Ledwo zeńdzie ze scyny, ledwo pysk łobmyje z tych farbów, to prościutko do synku i schleje sie. Ze to to świento ziemio nosi!

Łocy se cłowiek malował na corno, śwarcowoł, coby sie świciły do glancu, nikiej buty na niedziele. Całom gembe trza beł nopirwy posmarować tłustościom. A to jakosi zarosicek po wojnie my tam groli, wienc o smolec było notrudni. Noród ni miał co jeś, a aktorzy se pysk spyrkom smarowali. No, nie grzych to? Kie sie juz nasmarowało gembe tom tłustościom, to potem waliło sie na to farbe. Takom różowom, a na polickach malowało sie dwa buroki. I dopiro na to sła monka. Ludziska ni mieli co zryć, a zamiast na chleb, to ta monka sła na gembe! Moiściewy!... I ponieftory przyprawioł se jesce wonsy, klijone tak, ze trzymały sie jak na cymencie.

Ale z tego klijenio przysło do wielgiego niescencia. Miołem ino jedne lepsze łoblecenie i łopróc tego pore portek w krotke. Pepito. Cłowiek był młody a bidny jak ta mys. Insy jaktor, Białkowski, miał tez ino jeden gornitur i takze jednom pore portek, w takie poski. Tomy sie mieniali, coby sie nie łopatrzyć ludziskom, bo sie furt a furt ino hrabiów abo baronów grywoło. Roz jeden miał te portki w posecki, a drugi w krotke, abo nałodwrót. Co akt inacy.

No, i kiedysik, to beło na świentom Hanke, pojechałimy z wystempem do Nowego Szonca. A te obie pory portek wzienimy do jedny wolizki. I te w poski, i te w krotke. A w ty wolizce był ten klij na wonsy. Beskurcyjo, Białkowski, nie zatkoł flaski korkiem ino papirem (bo to i ło korki było trudno po wojnie). Przyjizdzomy do Szonca, kozdy sie juz upaćkoł galanto farbami na

tego jamanta i bieremy sie do woziki. A tu z dwóch por portek zrobiła sie ino jedna! Bez ten klij, co sie wyłol z flaski. Zlepił poski i krotke tak, ze ich łozerwać sie nie dało, choć ciongnyli my, jeden we fte, drugi w drugom strone. Jezusicku! Nie było w cym groć! To my za kaucyjom pozycyli u Zyda portek. I łozplakali my sie łoba, a po skońconym tyjatrze to my sie łopili w kormie z ty załosci. W Krynicy dali my te portki do pralni, ale sie łozleciały do cna, bo to była materyjo wojenno, z somych pokrzyw abo i z łostu.

Ale bywało i do śmichu w hań tym krynickim tyjatrze! Dokolusińka scyny, na portyrze i na pientrach były izby i stancyje, co my w nich miskoli. No, i jedna jaktorka wziena sobie do dziecka słuzoncom, takom gupiom dziouche prosto z chałpy. Nie wiedziola nic, co to tyjater. Kiedysik gromy „Erosa i Psyche“. Juz sie kójcy śtuka, a w łostatnim łobrozie na scynie bardzo ciemno. Ćma tako, ze łocy wykol! Dzioucha — Konda ji beło — myśłola, co juz po spektoklu. I włazi na scyne, ale nie sie porcynele. Niby spod dziecka. Niesie toto łostroźnie i tak, jakby to ze złota beło. I przelazi pod nosem Erosowi! Tośmy sie polozbiegoli po wszyćkich kontach ze śmichu, a łona sła, sła i sła bez całom scyne. Ludziska siedzieli spokojnie, bo myśleli se, co to jest jakisi, jak to mówiom, „sembol“ w tym nocyniu.

Hepło mi sie znowu wspomnieniami. Głód był w ty Krynicy po wojnie. Wszyćko dostawoło sie za kartkom abo w komzonie. Jesce nom, jaktorom, beło nienogorzy, bo nom za bilet do tyjatronu dawoli łatwo w tym komzonie to tytoj, to nofte, to monki zdziebko. Uśmieknoł sie jaktor do ponny, co siedziola za łokiemkiem, abo jaktorka do derechtora i dostawoło sie. No i za

ten tytoj, za nofte mozno belo kupić łod baby pore jojek, mlika, kurce albo kocke cy tez co łu rzeźnika. I jaktorki wiecór warzyły to wsyćko łu siebie w tyjatrze na spirytusie, az śmierdziało na całom scyne. A co ftora hrabina cy ksienżna z frajcuskiej kumedyji miała filke wolnom, to jak stoła w jedwobnych kieckach, biegła do tych gorków, zeby zobocyć, cy sie co nie przypolo. Ale sie przypoloło zowdy. Tu gromy tych hrabiów we frokach, a na wnątrzu az cłowieka mgli, taki zapoch wolił no scyne! I łod rozu sie wiedziolo, co łu kogo bedzie na kolacyjom, Grejze tu, kie sie ino wietrzy nosem, cy to grzybki łu tych cy pirogi z misem łu insych! To sie ponieftóry baron cy ksionze tak zomyślił, ze jaz sufler z budy wyskakiwoł i dor sie, jakby go ze skóry łobdzieroli!

A beł jeden jaktor, zbereźnik nogorsy ze wsyćkich, co zawse na noc nietrzyźwy wracoł do tyjatronu. I prosto łod dziouchy. Jak beł bardzo schlony, to sie potknył ka na schodach i tłuć sie jak ten Marek po piekle. Wienc go zechcieni łoducyć, coby sie przestoł fyrtoć ciengiem po nocach. No i wsadziło mu sie do łyzka babe. Nie babe prowdziwom, ino takom lalke piknie łubranom. A na te babe położyło sie drugom lalke. I te drugom lalke to my łubrali za ułana. Zaś tego ułana położyli my do wirzchu. Niby na te babe. Ino mu łostrogi wyziroły. Wyglondoli łoboje jak zywi!

Wienc jak ten jaktor przysed po nocy, tak nie fciol świcić, ino procusińko na łyzko. Domacoł sie tych łostrog i reśty. Skocył na równe nogi, zaświcił światło i łotrzyźwiol łod rozu. Nojpirwy łotrzyźwiol, a potym mu rozum łodjeno. Ale ino na filke. Łucik z tyjatronu bez kopelusa, ganiol po drógach, a wrócić nie fciol za nic.

Dopiero jak łochłonył, to sie łodprzysiongł łod wódki, ślubowoł i nie pił nic coś bez trzy dni. Zreśtom, fto go ta wi?

A roz, roz, to my musieli spuścić kurtyne w połowie sztuki. To był już łostatni spektakl, a nawet mielimy wceśni wyjechać, ino nie beło za co, wienc dało sie jesce jeden wiecór nad program, „na łogólne zondanie“. A włosciwie na dróge. Gromy, i w pirsym akcie wesła do łorkiestry jakosik baba, przykucnyła i zacyno sie gapić. Gapić sie a potym śmioć sie, jak ta gupio, z bele cego. Co sie fto łodezwie na scynie, baba w śmich. Ledwo my dogroli do kójca aktu i potym posed rezyszer do ty baby i mówi, coby sobie posła, bo nom groć nie do. A una do niego z pyskiem. Ze nie pójdzie! Ze mo pirsy wolny wiecór łod dwóch miesiency, to posła zobocyć te kumedyje. Takie dobre prawo ji, jak insych! I pokozoło sie, ze una bez coły sezon doziroło tych budek, co majom wymalowane dwo kółka. A ruch tam był taki zowdy, ze sie nie mogła łoderwać łod roboty ani na filke. I wcoro właśnie łostatni roz łurzendowała. A dziś sie ji nie fce robić nad program. Wienc zacena se łurlop łod tyjatrzu.

Nie fcielimy się ś niom swarzyć, ino łuprosilimy jom, coby sie nie śmiała za głośno. Dobre! Ino kurtyno w góre, baba w śmich! Ale to tak rechoła, ze na samo wspomnienie i dzisiok bierze mie śmich, az brzuch boli. Cy jo wim, moześmy i beli co winni ji za to łurzendowanie i teraz sie mściło babsko — nie wiem, doś, ze ten ji śmich był jakisi zaraźliwy i chycił sie wsyćkich w tyjatrze. Wsyćkich, bo nawet i fajerman w kulisie śmioł sie jak łopentany. A grolimy taki powazny kawołek na to zakójcenie sezonu. I ta baba śmieje sie co słowo. A za niom wsyscy. Posło po udziach jak choroba. Ino łopie-



rali się ło porence i krzyceli, ze doś, doś! Ze juz nie mogom wiency się śmioć. Ale łona nie popuściła i śmioła się dalij. Az ludziskom flaki wytrzensła. Płakoł jeden z drugim, a musioł się śmioć, zeby nie wiem jak nie fcioł. Posyłoli my do nij, zeby przestoła, ale kozze takij!

I dopiro potym na nos przysło, na jaktorów! Co ftóry fce gembe łotworzyć, to mu ten śmich nie do. Nie było rady, ino spuścić kurtyne. I doło się ty babie piontkę, coby się wyniesła. Jakosik dogroli my do kójca przez ni, ino ze juz nie było tak wesoło...

\* \* \*

Łobyrtłem się na wznak i medytuje, coby temu de-rechtorowi łodpisać. Pietnoście procynt i cosik z góry. Zeby nie było łobrazy boskij... Zaroz rano mu nopise. Nolepi rano!

Fto rano wstaje, temu Składkowski daje...

P. S. Mój żartobliwy „pastiche“, jakże daleki od plastyki, którą ma język oryginału, w niczym nie zmniejsza uznania, jakie budzi we mnie jędrna, kapitalna, pełna życia, a po trzykroć słusznie nagrodzona powieść p. J. Kędziory pt. „Marcyna“.



# TOWARZYSZU JASIEŃSKI, SPALCIE MOSKWĘ!...



Przed kilku dniami doniosły dzienniki, że komunistyczny literat, autor sensacyjnej, w Polsce częściowo skonfiskowanej powieści pt. „Palę Paryż!“, został aresztowany w Moskwie. Naturalnie, musiało się z nim skończyć tak samo jak z innymi! Nie sam więc fakt aresztowania stanowi pikanterię, ale szczególnie ten, że wśród wielu zbrodni popełnionych przeciw sowieckiemu ustrojowi, zarzucają mu m. in. „przebywanie w towarzystwach, w których opowiadano antysemickie anegdoty“. Więc po to jeździł do Moskwy?! Samorzutnie wyrasta uwaga, że gdyby został w Polsce, mógłby, zwłaszcza jako Żyd, nie tylko swobodnie przebywać w takich towarzystwach, ale nawet sam z pewnością nie ograniczyłby się wyłącznie do słuchania żydowskich kawałów, lecz pisałby je prozą i wierszem! Przecież tego Żydom nikt u nas nie broni i sami tworzą najwięcej żydowskich szmoncesów! A tam, właśnie tam, nie wolno!

Duży to był talent, co prawda mocno zbakierowany w powiciu, ale przeszedłszy pewien okres ząbkowania, mógłby rozwinąć się poważnie. Uczył się trochę na aktora, choć może celem tej nauki było wykształcenie dykcji, która znalazłaby zastosowanie na jakichś meetingach ludowych. Tego mi jednak nie powiedział, a był właśnie moim uczniem przed kilkunastu laty, już jako modny autor książki „Nuż w bżuhu“. Zresztą były tam bardzo dobre, choć nie zawsze oryginalne wiersze. Widzę go jeszcze jako wytwornego, zdaje się, zamożnego młodzieńca, ubranego z niebywałą starannością i ekstrawagancją, a zawsze z nieodłącznym monoklem w oku.

Gdy po latach ujrzałem Jasińskiego w Moskwie, wyglądał inaczej. Ubrany był, powiedzmy, skromnie, szaro, po moskiewsku. I już bez monokla. Pewnie za monokl stawiają tam pod ściankę albo ekspediują na Wyspy Sołowieckie, bezpieczniej więc wyrzec się tej ozdoby. Wydał u siebie śniadanie dla mnie i jeszcze dla jednego literata z Polski. Pamiętam, wyżerka była fantastyczna, bo to i kawior perłowego koloru, dziesięciokaratowy, prawdziwie carski, i sigi i bieługi i inne jakies ryby, i pierogi specjalne i pyszny koniak i wino, podawane w kryształowych, zielonych kieliszkach, zdobnych dyskretnie w cyfrę i koronę Mikołaja II...

Prawdopodobnie koszt tego wytwornego przyjęcia pokryto z funduszków gadzinowo-propagandowych, ale przy całym bogactwie jadła i trunków — w Moskwie zawsze coś nie klapuje — panował w mieszkaniu iście syberyjski mróz. Ręce mi zgrabiały i omal nie przymarzły do kryształowego pucharu, którym z coraz większą trudnością manewrowałem. Z ust szła gęsta para. I wtedy to pomyślałem sobie tak: „Towarzyszu Jasiński, palicie

Paryż, ale nie palicie w piecu!". A dzisiaj, zatroskany o los młodego poety, który tak rwał się do Bolszewii, rzucam życzliwą uwagę: „Towarzyszu Jasiński, spalcie Moskwę!"

Popęd do ustawicznych dziwactw pozostał u Jasińskiego, ponieważ ucztę okrasił w niezwykle sposób: tuż za moimi plecami, w odległości najwyżej pół metra, przybita była do ściany deska, a na tej desce stały dwa, uwiązane sznurkiem za nogi, żywe... orły. Nie mam pojęcia, na czym polegał dowcip i cel tej oryginalnej instalacji, ale orły nie bardzo pachniały, a ich bezpośrednie sąsiedztwo peszyło mnie trochę. Nuż któraś dzika bestia dzióbnie mnie w łeb albo w oko?! Pomysłowy gospodarz kierował moją uwagę w tamtą stronę, jednak przez wrodzoną złośliwość nie spytałem o znaczenie i sens tej wkładki reżyserskiej. Aby popsuć efektowny szczegół śniadania, udałem po prostu, że orłów nie widzę.

Rozmowa nie bardzo kleiła się, choć i ja i towarzysz mój należymy raczej do rozmownych ludzi. Czwartym gościem był poeta, komunista polski, Standé, a przez chwilę czekaliśmy na Wandurskiego, który jednak nie przybył. Z pewnych półsłówek domyśliłem się, że jest aresztowany, jako „niebłagonadiożnyj". Czy Jasiński już wtedy przewidywał, że jego także podobny los czeka, nie wiem, ale okropnym smutkiem wiało nad tym kawiorem, nad piramidami pierogów, nad herbowymi ostatniego Wszechrosji cara kieliszkami, i nie wiadomo było, o czym gadać.

Piliśmy tedy dość gęsto, a profilaktycznie ze względu na podbiegunowy mróz, lecz to nie rozwiązało języków. Chciałby człowiek spytać ich: „Po coście wy, kulturalni ludzie, wykształceni w Polsce na zachodnich pożywkach,

wleźli między tę dzicz, między tych śmierdzących dziegiem Azjatów!? Niby to już zdołaliście opanować język i piszecie po rosyjsku, ale nie róbcie dobrej miny do złej gry! Gdyby to było możliwe, wyrwalibyście pierwszym pociągiem do zgniłej, faszystowskiej Polski! Albo do nie-spalonego jeszcze Paryża, bo w Polsce nie bardzo jesteście potrzebni! "...

Gdy wróciwszy do kraju, wspomniałem w jakimś felietonie o wizycie u Jasińskiego, przyjechał do mnie ktoś z jego najbliższej rodziny, pytając, czy to prawda, czy rzeczywiście Jasiński żyje. Familia w kraju nie ma od dawna wiadomości, choć próbuje pisać na wszystkie sposoby. Przekonani są, że Jasiński nie żyje, że został rozstrzelany. Musiałem przysięgać, że widziałem go na własne oczy, zaklinać się, że byłem u niego, opowiadać, jak wygląda, jak mieszka, wspomnieć o tym, że się ożenił itd.

Minęło od tej wizyty dobrych kilka lat bez słowa stamtąd i dopiero teraz rodzina dostała wiadomość o areztowaniu... Widać, wolność korespondencji to przeżytek kapitalizmu.

Przypominam sobie inną ucztę moskiewską, przez kolegę Otmara z „Gazety Polskiej“ w hotelu Savoy wydaną. Znowuż nieprawdopodobna wyżerka z kawiozem już nie carskim, ale stalinowskim przy akompaniamencie nie tylko win i koniaków, ale specjału nad specjałami. A mianowicie piwa... okocimskiego i żywieckiego do wyboru, ponieważ piwa te — same świetne, w porównaniu zaś do tandety browarów rosyjskich jeszcze lepsze — cieszą się wyjątkową renomą zwłaszcza w sferach dyplomatycznych.

Po orgii przekąsek siadamy. Szukam mego biletu przy

stole biesiadnym i widzę, że posadzono mnie pomiędzy dwoma panami o polskich lub neopolskich nazwiskach. Z lewej dyrektor Tassa, lwowianin, Jacques z imienia, ale jego sztucznie polskiego nazwiska zapomniałem, z prawej p. Rajkowski. Wzięłem tego drugiego za korespondenta którejś z polskich gazet i niebacznie rzuciłem jakąś cierpką uwagę na temat Sowietów. Uśmiechnął się towarzysz stołu (nie wiem, czy żyje, bo był oskarżony i występował w którymś z ostatnich procesów) i mówi mi:

— Pomyłka, panie doktorze! Ja jestem tutejszy, choć z Łodzi...

Od tej chwili byłem już ostrożniejszy. Rozmowa przy stole toczyła się wyłącznie po polsku. Nie tylko dlatego, że w Moskwie, jak mówiono mi, język polski jest językiem tzw. lepszych sfer, spełniając po części tę rolę, co francuska paplanina w Polsce, ale głównie dlatego, że znakomita, przytłaczająca większość obecnych była to nasza, krajowa a przytłaczająca... mniejszość z Karolem Radkiem na czele. Nie mówił po polsku jedynie jakiś małogramotny robociarz, figurant-redaktor naczelny „Prawdy“ czy „Izwestij“, oraz pewien młodociany generał, redaktor „Krasnej Zwiezdy“. Próbowałem go zaczepić po francusku, ale nie kapował.

Przy wetach nastąpiły liczne toasty. Zaczął gospodarz przez grzeczność po rosyjsku, jednak wszyscy odpowiadali mu po polsku i to w polszczyźnie już nie bez zarzutu, ale w polszczyźnie wręcz za dobrej, trochę przesadnej. Radek mówił wspaniale! No, nie darmo w swym pięknym mieszkaniu na czternastym piętrze pół zrujnowanego, sypiącego się drapacza chmur ma — albo, raczej, miał — olbrzymią bibliotekę, w dużej mierze z polskich

klasyków złożoną. Przyjrzałem się dokładnie tym tomom Kochanowskich i Mickiewiczów! Zresztą, pani Radkowa z Polski, mianowicie z Łodzi rodem, a i służącą Polkę trzymali. Pomnę, podczas herbaty u siebie w domu Radek zadał mi pytanie:

— Po co pan przyjechał właśnie do Moskwy? Żeby zobaczyć najgłupszą biurokrację świata! No, tu ją pan zobaczy z pewnością... Raczej było wybrać się dalej na wschód!

Lecz na przyjęciu, o którym piszę, Radek mówił inaczej, mianowicie lirycznie, powiedziałbym nawet, rzewnie. O Polsce dalekiej. O tym, że nigdzie indziej nie wyobraża sobie swej starości i emerytury, jak gdzieś w okolicach np. Tarnowa. Albo na głębszym Podkarpaciu. O, taka jakaś wieś cicha, taka rzeka jak Dunajec czy Poprad. Bezwarunkowo musi tam kiedyś pojechać na stare lata i już zostać...

Trochę uderzył mi do głowy ormiański koniak, trochę zaważyło ciężkie, kaukaskie „Kachetińskie“, dość, że zagalopowałem się i rzekłem: „Ho, ho! Niedoczekanie!“... Niby intencją moją był żart, ale żart okazał się niestosowny, ponieważ wszystkim obecnym sprawiłem przykrość dotkliwą. Oni także wyobrażali sobie starość i emeryturę jako powrót do Polski. I właśnie rzekłem im: „Niedoczekanie!“...

Gdy wstaliśmy, udając się na czarną kawę, rozmowa potoczyła się jeszcze swobodniej i jeszcze bardziej szczerze. Znowuż o Polsce. Nie o polityce, ale o pejzażu, o miastach, o Zakopanem, o ludziach. Schwycił mnie za guzik marynarki któryś z tych dygnitarzy, przyparł do kąta i pytał o Warszawę, drugi zaś, wspomniany dyrektor oficjalnej agencji prasowej, informował się o swo-



je miasto rodzinne, tj. o Lwów. A dowiedziawszy się, że jestem krakowiakiem pełnej krwi, skupili się dookoła mnie na moment, pytając o to miasto nad miastami, o totius Poloniae urbs celeberrima. Musiałem opowiadać im o wszystkim. Np. o tym, że hejnał mariacki, który nadaje polskie radio z płyt, gra jeszcze w oryginale. Pytali o ulice i zaułki, o kościoły, o wikarówkę, by wreszcie chórem spytać o zdrowie Plant krakowskich, o to, jak się też powodzi drzewom, w szczególności rozłożystym kasztanom.

— Wycięte! — rzekłem, nie ukrywając smutku. — W pień wycięte!...

Spuścili posępnie głowy, aby pospołu ze mną zatopić robaka w Szustowie. Może pomyśleli sobie, że szkoda tych Plant krakowskich, a może, może przyszło im do głowy, że oni sami niepotrzebnie spalili za sobą mosty. Nie mogę za to ręczyć, ale nazwiska ich znalazłem w spisie osób tej ponurej komedii, dawanej w Moskwie i nie schodzącej z repertuaru, komedii procesu.

Ciemno już było, gdy znalazłem się na szarej, paskudnej ulicy. Mróz trzymał tęgi, po nierównym bruku snuli się obdarci przechodnie, kopciła jakaś latarnia. Wsiadłem do tramwaju, gdzie bilet sprzedała mi konduktorka lepiąca się od brudu, w łachmany jak żebraczka spod kościoła ubrana.

Myślałem o Rostopczynie, który przed stu laty z górą spalił to miasto, i myślałem z przyjemnością, że za kilka dni znajdę się w domu. A teraz myślę o bladym, wytwornie odzianym poecie w monoklu i o wierszach, które niekiedy były pyszne, np. ten opis marszu piechoty, który mi jeszcze dudni w uszach: „obcas-karabin, obcas-karabin...“ I pamiętam rym do karabina, rym „Skria-

bin". Dobry, bardzo dobry wiersz! Mógłby ich napisać więcej...

A dziś mu nie wolno słuchać kawałów żydowskich! Trochę, nawet bardzo mi żal tego młodego człowieka. Niechże mu krzywdy nie zrobią w sądzie! Trudno mi stwierdzić motywy jego wyjazdu do Rosji, ale wydaje mi się, że w pewnej mierze zrobił to dla fanfaronady, która w życiu Jasińskiego stanowiła motyw zasadniczy. Jak nieodłączny monokl w oku, jak te orły, asystujące przy propagandowym śniadaniu, jak ortografia, dystansująca, bijąca o pół długości nonsensu najnowsza polską pisownię.

Towarzyszu Jasiński, spalcie Moskwę!...

# STYKS I MASTYKS



Trzy dni temu umówiłem się z dożą weneckim, że go odwiedzę, po czym weźmiemy z sobą czcigodnego Brabancja i pójdziemy gdzieś na piwo, aby pogadać o dawnych, dobrych czasach. Gdy stanąłem u progu, Brabancjo był już w czarnych trykotach i w koronkowej koszuli, fryzjer zaś kleił mu brodę. Jest to zabieg, na który nie mogę patrzeć, bo łzy płyną mi z oczu. Och, jak szczypie ta piekielna mikstura! I jak aktor krzywi gębę podczas klejenia tych paskudnych kłaków siwej czy innej krepy!

Skierowałem wzrok gdzie indziej. Doża wenecki naciągał na się mocno sfatygowaną purpurę i zębem czasu nadgryzione gronostaje, których widok napełnił mnie gorzkim smutkiem. Pomyślałem sobie, że powinno się je posłać do pralni Tęczy albo do innego Bębenka celem czystki. Drzwi od garderoby otwarte były na korytarz.

Snuły się tamże rozmaite weneckie typki, giermkowie, senatorzy, mieszkańcy pięknego Cypru, tudzież strażacy w błyszczących kaskach, nadto krawcy, rekwizytorzy itd. Sędziwy doża popijał czarną kawę i tak prawił:

— Masz rację, kochany Zygmuncie! Doża to jest ogon, ale, na szczęście, ogon-epizod. Grałem dużo ról, jednak rola doży jest najbardziej „dyrektorska“! Kończę w połowie drugiej odsłony, a poza tym nie muszę uczyć się na pamięć, bo rola leży przede mną na stole obrad i mogę swobodnie czytać. Szalona wygoda! Za dwadzieścia minut jestem gotowy! Wreszcie, gram w moich własnych, prywatnych spodniach, ponieważ ich wcale nie widać spod płaszcza...

Istotnie, doża miał na sobie spodnie w paski, własne i rodzone, jako też buciki żółte oraz getry, a wszystko to pokrywał płaszcz purpurowy, gronostajem ze swoich kotów suto bramowany. Kto zaznał, jak nieznośne jest renesansowe dessous, składające się z trykotów, szpong czy innych majtadałów po ś. p. Rapackich i Leszczyńskich, — ten pojmie korzyści, płynące z takiej inscenizacji, która pozwala na pozostanie w dessous prywatnym. I jeszcze, na dobitek, doża nie musi uczyć się na pamięć potwornych bzdur polskiego tekstu Szekspira. Przeciwnie, z wysokości stołu obrad słucha wyrozumiale idiotyzmów, jakie mówią partnerzy, uzupełniając niekiedy pokraczne zdania własną a złośliwą inwencją.

Zważmy, że gdy — jak słyszałem — jeszcze niedawno grano Romea i Julię, w ostatniej scenie tragedii biedna Julia, przebijając się puginałem, bawiła nielicznych widzów następującą kwestią:

„Idą! Czas skończyć! Zbawczy puginałe,

To twoja pochwa (*przebija się*), tkwij w tym futerale!“

W „Otellu“ zostało nonsensów niezliczone mnóstwo, a są może i gorsze niż legendarna pochwa i futerał Julii. Np. kwestia Brabancja! W chwili, gdy doża stara się słowami pociechy ukoić ból ojca, którego córka „klei z Murzynem kazirodny związek“, Brabancjo odpowiada następującym zdaniem:

„Lecz słowa wiatrem! Nawet siła Doży  
Plastrem przez ucho serca nie obłoży!“.

„Doży-obłoży“! Tu aż proszą się jakieś niedozwolone dodatki, jakieś drobne uzupełnienie sylab, z których powstanie kawał taki, że kurtynę trzeba będzie spuścić. I ten plaster, który przez ucho kładzie się na serce! Jakiś sadystyczny „rigolot“... Nie urągajmy jednak ś. p. Paszkowskiemu, który ma zasługi wielkie jak na swoje czasy, ma nawet i polot i wdzięk, ale od śmierci niestrudzonego tłumacza upłynęło lat siedemdziesiąt pięć! Niezrównany P. A. L. nie ma zdrowia na takie głupstwa, jednak mimo wszystko dziwne to, że w ciągu trzech ćwierćwieczy nikomu nie przyszło do głowy (o filologicznych przekładach Tretiaka czy Tarnawskiego, równie jak o zapoznanych przez teatry tłumaczeniach Kasprowicza nie mówię) przełożyć te teksty na nowo. Po dawnemu miele się bezsensowną sieczkę, choć już St. Tarnowski zwracał uwagę na konieczność rewizji, a Wł. Tarnawski poddał stare przekłady surowej krytyce. Nie pomogło to, i jeszcze dzisiaj „siła doży plastrem przez ucho okłada serce“...

Albo kwestia: „Lecz słowa wiatrem“, która po angielsku brzmi: „but words are words“, czyli dosłownie: „lecz słowa słowami“. Paszkowski robi z tego jakieś wiatry, którym zapobiec ma tajemniczy plaster, aplikowany poprzez ucho na serce. Po ludzku można by ów synapizm

przetłumaczyć następująco: „Nie slyszalem jeszcze, aby slowa uleczyły mogły serce“. A są w „Otellu“ także i inne specjały, od których — i bez plastra — wędzną uszy. Np. „Superfinowy łotrze!“ Albo „Kłamiesz, draniu!“ Albo „ewakuowanie mu czaszki!“ Albo „Kaź jej powrócić nazad, panie generale“. Trafiają się zwroty w równym stopniu drastyczne jak i niepokojące. Np. „Boso bym poszła do Jerozolimy za jedno tchnienie jego wargi dolnej!“ Jakaż namiętność występuje w tym dwuwierszu! I czy wargą, zwłaszcza dolną, może wydać tchnienie? Którędy? Zaprawdę, wołę już styl najnowszej polskiej ortografii!... Koroną wszystkiego jest zdanie takie:

„Miej mnie za capa, jeśli kiedykolwiek

Władze mej duszy zajmę tak wydetą

I wietrzną bańką, jak ta, którą puszczasz!“...

Widocznie bańka ta stanowi pendant do wspomnianych powyżej wiatrów. Ale to dobry przykład, szczególnie dla młodzieży, na spektakle szkolne... Będzie zabawa!

O tych to sprawach mówiłem z przyjaciółmi, tj. z dożą weneckim i z nieszczęsnym ojcem Desdemony, gdy zaś ozwał się dzwonek, poszedłem na widownię. I po drodze spotkałem Kocię. Pardon, panią Kocię Bednarzewską, najbardziej uroczą z przedwojennych Desdemon. Przyszła popatrzeć na swoją dawną rolę, którą jeszcze, jak Boga kocham, mogłaby zagrać. Ja chodzę do teatru coraz rzadziej, ona, p. Kocia, dosyć często. Widocznie teatr trzyma ją mocno jak mastyks i nie chce puścić. Między mną zaś a teatrem płynie szerokim strumieniem już nie mastyks, ale ponury Styks. Albo rzeka zapomnienia, Lete? Niemniej siadłem w łoży, aby zobaczyć Junoszę na czekoladowo.

Hm, dlaczego na czekoladowo? Dlaczego nie na czarno? Otello nie jest Arabem-semitą, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa Murzynem, czarnym jak sam Ovens. Tzw. „brązówka“ alboli czarna szminka — oto jest pytanie! Z Otellem — Arabem wkracza do sztuki rasizm w zupełnej innej formie, zmieniając gruntownie sens. Nie Arab, lecz Murzyn. I to czarny jak smoła. Ale mimo to piękny. „Your son-in-law is far more fair than black“ — powiada wyraźnie doża.

Mniejsza z tym! Gdy Junosza wszedł na scenę, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że spod kostiumu wystają jego cywilne spodnie, lakierki, tudzież getry. I, panie Kazimierzu, świetny artysto, wielki aktorze, nie daj się bujać krakowskim recenzjom, które pchają Cię dalej w kierunku szekspirowskim, a nawet namawiają do roli króla Leara. Nie, nie ucz się tej nowej partii! Będąc wyjątkowo wspaniałym aktorem, przecież, jak nic, zdevaluujesz tego Leara o 40 procent i zdevaluujesz olbrzymi talent, który masz od Pana Boga. Panie Kazimierzu, możesz mnie pchnąć puginałem, ale powiem prawdę: widziałem pana w „Kupcu weneckim“, ostatnio zaś w „Otellu“. To nie to! W roli „Otella“ wyglądałeś jak gentleman, który opalił się w Juracie albo na własnym jachcie. Rassssa przez dziesięć s i przez mocno grasse-yowane r wyłazi z ciebie zarówno dolną wargą jak wszystkimi porami. Ani śladu Murzyna czy Araba i ani śladu... Szekspira! Przepraszam, że mówię to ja, miżerny, nieznaczný a odepchnięty służka wielkiej Melpomeny, ale gada przeze mnie tylko szczeróć. Kiedy indziej napiszę hymn — równie szczerý, z serca i podziwu pływący, dzisiaj zaś powiem tak: miałem ciągle wrażenie, że ty wstydzisz się, żenujesz tej roli. I dlatego w drodze

powrotnej myślałem sobie, że między dzisiejszym pokoleniem aktorów a dawnymi czasy płynie właśnie wspomniany Styks. Że już nie ma komu grać tych ról. Dlaczego, nie wiem.

Nie wiem także i nie jestem wcale pewny, czy dawni wykonawcy naprawdę grali tak świetnie Otella, Leara albo Makbeta, jak się to pochopnie dzisiaj mówi. Widziałem starego a genialnego „Leszcza” w „Otellu”, lecz był to wtedy już człek wiekowy, a roli w ząb nie umiał. Widziałem Rygiera, który mnie wcale nie przekonał. Żelazowskiego natomiast nie było mi dane widzieć, lecz w opowiadaniach o dawnym teatrze jest wiele, wiele grubej przesady. Przecież właśnie Żelazowski miał grać Otella z partnerem, który w roli Jagona ubrany był po... tyrolsku. Kapelusik z piórkiem i gołe kolana. Fakt, podobno! Zdarzały się w dawnych czasach kawały rozmaite, a pewna aktorka właśnie w „Otellu”, mówiąc kwestię: „Na kolana, Cyprze!”, spytała reżysera, do kogo ma zwrócić się z tymi słowami, bo nie wie, kto gra Cypra...

To pewna, że dawni wykonawcy nie wstydził się grać Szekspira szeroko, z gestem, z wrzaskiem okrutnym, z wywalaniem gał. Była to gra od kulisy do kulisy, aż na strzępy darły się dekoracje, aż pot sphywał strumieniami, aż widzom bebechy się wywracały. Bo taki to właśnie poeta ten Szekspir, że go nie można grać dyskretnie, do kamizelki. Szekspir to nie jest umiar, nie koronkowa robota, nie dyskrecja, ale dziki rozmach, wrzask, jęk, pęd poprzez cały świat, poprzez wieki, rasy, poprzez geografję, czasem i poprzez logikę. Szekspir nie żenuje się ani trochę. Każda jego tragedia to katastrofa, w której ginie więcej osób niż przy normalnym karam-



bolu dwóch pociągów. Przecież w „Hamlecie“ jest osiem, a w „Królu Learze“ jedenaście trupów, rannych i kontuzjonowanych nie licząc...

Panie Kazimierzu, nie bierz udziału w tej krwawej masakrze! Nie dla ciebie takie papranie się w uboju partnerów. Ten ubój trzeba grać na serio, wierząc w truciznę, sztylet, szpadę, czy we własne ręce, którymi dusi się Desdemonę. Ty zaś, gdy grasz jakąkolwiek inną rolę, dusisz także, ale dusisz wszystkie baby na widowni. Gdy grasz uwodziciela, kobiety szepczą: „Boso bym poszła do Jerozolimy za jedno tchnienie jego wargi dolnej!“ Trzymaj się tego repertuaru! To twoja pochwa, tkwij w tym futerale!

Nie jesteś jedynym wielkim aktorem, który nie „pasuje“ do Szekspira. Och, jakże położył się w „Ryszardzie III“ taki Bończa! Gdy przyszło do clou roli, do krzyku: „Królestwo za konia“, zachryął. A publiczność za nic nie chciała wierzyć w bezecność jego charakteru. Tak samo nie można wierzyć tobie, panie Kazimierzu, gdy mówisz do Desdemony: „Sprośnico!“ Bo lubisz wytworne sprośnice, bo jesteś „podwikarzem“, jak powiada nieoceniony Paszkowski. I zamiast dusić, jakże chętnie wykonałbyś funkcję, którą Desdemona powierza Emilii, mówiąc: „Rozepnij mnie, proszę!“.

Błuznię, pisząc te słowa, ale darujesz mi przez pamięć wszystkich wielkich ról, które zagrałeś genialnie! I które zagrasz jeszcze!

Żebyś tak był zdrow!



# PROSZĘ PAŃSTWA!



Cóż za oryginał z tego Paderewskiego! Nie ma zwyczaju po każdym np. mazurku Chopina wstawać od fortepianu i mówić: „Proszę państwa, nie wyobrażajcie sobie, że moje życie jest usłane różami, proszę państwa!“. Paderewski nie jest conférencierem. Po scherzo czy po nokturnie udaje się do garderoby, zamiast mówić: „Proszę państwa, choć taki genialny, zawsze jestem wasz chłopak z Morges, proszę państwa!“. Na bis daje po prostu jakieś preludium Chopina i nic nie gada. Taki dziwak! Nie urządza wieczoru monologów.

Dla Kiepury, przeciwnie, każdy naddatek stanowi właśnie preludium do... nowej deklaracji politycznej, jako to: „Wierzajcie mi, kochajmy się, proszę państwa, nie dajmy się, proszę państwa!“. To jakiś galopujący świerzb

języka. Sądzę, że gdyby kiedyś (oby to nastąpiło jak najpóźniej!) znalazł się wśród cieniów Erebu i gdyby mu klaskali, podskoczyłby jeszcze, mówiąc stylem „Marcyny“: „Wierzajcie mi, proszę państwa, nie idzie mi ło łorder, wszystko jedno, dadzom go czy nie dadzom, ale to wom godom, proszę państwa: trzymojmy się w kupie!“.

Podobno Paderewski wyraził się o sobie samym, jak następuje: „Nie wiem, czy umiem grać, ale wiem na pewno, że umiem mówić“. W każdym razie potrafił ściśle rozgraniczyć te dwie, bądź co bądź, odmienne dziedziny. Może dlatego właśnie każdy jego koncert jest tak wytworny, tak dostojny? Gdy wchodzi na estradę, wszyscy, królów nie wyłączając, wstają spontanicznie z miejsc. On zaś milczy, wiedząc, że w tym wypadku wystarczy w zupełności wymowa samej tylko muzyki. Kiedy indziej znowuż, gdy przemawia, stara się stać jak najdalej od fortepianu.

W momencie powszechnego a jakże uzasadnionego entuzjazmu i eksplozji wdzięczności pozwalam sobie rzucić nieśmiałą uwagę, że mistrz Kiepura jakoś nie doszedł jeszcze do tej wewnętrznej dyscypliny, nie wstąpił w głąb samego siebie (a ostatecznie nie jest to tak daleka wycieczka) i nie rozwiązał trochę bolesnego dla ziomków dylematu, czy śpiewa i mówi al pari. Słowem, nie postawił sobie jasno problemu: „śpiewać, czy mówić — oto jest pytanie, proszę państwa!“.

Narazie oba strumienie jego żywiołowej twórczości płyną jednym wezbrany korytem. Śpiewak walczy o lepsze z mową, artysta z politykiem, tenor z ekonomistą, a fraza z frazesem. Może to właśnie wywołuje pozory monotonii repertuaru zarówno muzycznego jak oratorskiego. Gdy więc nagle przerywa koncert w najpiękniejszym miejscu i zaczyna wygłaszać

orędzie, zmieniają się role, bo zamiast tenora publiczność samorzutnie choć na razie mruczando śpiewa sobie z niejakim zawodem i zakłopotaniem: „Aj-aj-aj! Aj-aj-aj!“ W programie jest np. „Marta“ Flotowa, Kiepura zaś wskazuje piękną, skromną, małomówną Martę Eggerth oraz zagrzewa Polaków programem flotowym, zmuszając równocześnie uroczą małżonkę, aby także wygłosiła krótkie exposé.

Program koncertu jest zarazem programem politycznym, społecznym, ekonomicznym itd. Po „Szumią jodły na gór szczytce“ wielki artysta szkicuje nadzwyczaj oryginalny plan wzmożenia eksportu polskiego drzewa. Aria z „Legendy Bałtyku“ jest pretekstem do zbiórki na F. O. M. Nawet „Zejdź do gondoli“ wywołuje u króla tenorów apel do budowy nowej polskiej łodzi podwodnej. Gdy mu dają mało pieniędzy na Pomoc Zimową, on śpiewa z gorzkim wyrzutem: „Ta rączka taka zimna“ i prosi o bisowanie datków. Śpiewając „Rigoletto“, przykłada rigolot na wszystkie rany naszej ojczyźnie, słowa zaś „è mobile“ są wezwaniem do powszechnej mobilizacji wszystkich sił w narodzie. Cóż dziwnego, że potem mistrz, patrząc na nas jak na III część „Dziadów“, mówi o sobie ciepło słowami wieszczka: „Ja jestem milion, proszę państwa, na Pomoc Zimową, wierzajcie mi! Jeszcze dziesięć lat temu jeździłem II klasą o kiju żebraczym“.

Bo Kiepura, proszę państwa, musi gadać. Tak było nawet, gdy z „Grandu“ pojechał sleepingiem do magistrackiego pałacu Larysza, który od tego czasu zwie się pałacem nouveaularysza. Tamże Kiepura nie wytrzymał, puścił folgę temperamentowi i kropnął mówkę na tematy osobisto polskie, o której głośno jest dotąd w Krakowie. Zresztą plotek nie lubię. Tak, on musi

mówić. To jest taki tick nerwowy. A właściwie mówi nie on sam, lecz gada przezeń tajemnicza konieczność wewnętrzna, przed którą wszyscy musimy głowę skłonić albo zastosować egzorcyzmy.

Sokrates także miał podobną manierę, tłumacząc własne gadulstwo tym, że przez jego — Sokratesa — usta przemawia „dajmonion“. W Kiepurze biją się te dwa głosy. To stały duet. Klóci się głos wewnętrzny, inaczej „dajmonion“, z tenorem jako takim, proszę państwa. Kiepura-śpiewak jest boskim narzędziem Apollina, Kiepura-mówca jest dziwnym naczyniem paplającego demona, i dzięki temu Kraków przez dwa, ach, tylko dwa dni pobytu patriarszej pary przypominał żywo Ateny z najlepszych czasów, proszę państwa. Nie chcąc być posądzony o stronniczość, oddam głos komu innemu, kto mnie wyreczy. Ten ktoś żył przed dwoma i pół tysiącami lat: „Gdy się zaczyna go słuchać, mowa jego wydaje się zrazu żartobliwa: myśl jego obwinięta w nazwy i wyrażenia rubaszne jako w skórę bezczelnego Satyra. Ale gdy się otwiera jego rozmowy, gdy się wnika do ich wnętrza, od razu się poznaje, że one jedne są tylko pełne sensu. Potem odkrywa się, że one są prawdziwie boskie, bo zamykają w sobie najszlachetniejsze obrazy cnoty i obejmują mniej więcej to wszystko, co powinien przed oczami mieć ten, kto chce zostać człowiekiem doskonałym“. Tak właśnie charakteryzuje Kiepurę-Sokratesa niejaki Alcybiades (w pośpiechu, do którego zmusza zawód dziennikarski, podaję źródło: cytowane z „Ucztę“ Platona).

Przełom V i IV w. przed Chrystusem i r. 1937! Ateny i Kraków! Platon mówił o Sokratesie, a jakby widział Kiepurę! Rzeczywiście, pewne zwroty w deklaracjach

Kiepury wydają się początkowo żartobliwe, i dopiero po dokładnym przemyśleniu wyrasta ich głęboki, krytniczny sens. Zuber polityki! Przez jego usta w tysięcznych deklaracjach, składanych z balkonów, z okna hotelu, z samochodu, bezpośrednio czy też przez megalomanofon, na placach, rynkach, w portykach i w ogóle gdzie popadnie, zdaje się przemawiać coś, co wskazuje, że wielkiego rodaka naszego pędzi jak gdyby biegunka słów. Jak inni używają np. wody morszyńskiej, tak on prawdopodobnie bierze coś codziennie rano na przemówienie. Ale mówi tak, że Kraków przez tych 48 godzin dosłownie biwakował pod gołym niebem.

Zwyczajem przyjętym przez akademików literatury, oddaję głos komu innemu, nie fatygując się osobiście: „W działalności widział sens swego życia. Absorbowała go tak, że o własnych sprawach nie myślał: żył wraz z rodziną w niedostatku. Był wszędzie tam, gdzie mógł znaleźć rozmówców, zatrzymywał ludzi na rynku, w pa-lestrze czy na biesiadzie“... (cytowane z Tatarkiewicza „Historii filozofii“, t. I, str. 80). Przecież jakbym widział Kiepurę!

Rozwadniając dalej to porównanie Sokratesa do naszego słowika, mimochodem stwierdzam, że istnieje nawet jakieś zewnętrzne a uderzające podobieństwo między helleńskim filozofem-gadułą i naszym mistrzem. Wystarczy spojrzeć na fotkę przedstawiającą znane z Villa Albani popiersie Sokratesa, które przy drobnym retuszu mogłoby wyobrażać Kiepurę po zapuszczeniu brody, w sędziwej starości. Istotnie, jak gdyby dwie krople wody z transmisji niedzielnego słuchowiska.

Proszę państwa, za skarby świata nie chcę być fałszywie rozumiany. Kiepura, to nie tylko wielki artysta,

ale i porządny chłop. Jak złoto. Pod jego posążkiem (z własnoręczną dedykacją), który mam w atrium, sam spaliłem w niedzielę kadzidło. Do huraganu braw, do letniej nawałnicy oklasków, do lawiny okrzyków zgłaszam mój żywiołowy akces i wyzywam na udeptaną ziemię pod Starym Teatrem każdego, kto by ośmielił się przeciwne mieć zdanie. Ale takich nie ma jak Polska długa i szeroka. Hołd dla artysty i pokłon dla człowieka zamknąć musimy w najdalej idącym superlatywie, w gromkim toaście: „Niech żyje“! Uradowałem się razem z całym Krakowem, gdy na masztach Grand Hotelu zawisły flagi o barwach Kiepury z jego herbem, przedstawiającym wysokie, białe „cis“ w czerwonym polu. Kluczem wiolinowym dobrał się do naszych serc, bengalską koloraturą oświetlił szarość naszego życia, i jeszcze dziś w pierwszej oktawę po jego wyjeździe mamy go pełno i głęboko w duszy. I tylko przyklasnąć należy wnioskowi, jaki na stojąco uchwaliła rada miejska, aby ulicę Retoryka jak najspieszniej nazwać już dzisiaj ulicą Jana Kiepury. Młody wiek nie może w tym wypadku stanowić najmniejszej przeszkody. A która ulica jest bardziej odpowiednia niż Retoryka. Ona się sama prosi o zmianę!

Ale, proszę państwa, mówmy jeszcze bardziej serio niż dotychczas. Kiepura wydaje mi się wspólnym dobrem całego narodu, którym szafować winno się roztropnie i oszczędnie, zarówno gdy idzie o rynek wewnętrzny jak i o daleki eksport. Jeśli pomyślę, że te same słowa, jakie słyszeliśmy podczas triumfalnej audycji w zeszłą niedzielę, że tę samą płytę puszcza także da capo al... fiasco w Brukseli, Sztokholmie czy Amsterdamie, do duszy zakrada się zwątpienie w postaci kiksusa. Przemienne uczucie naszej wdzięczności ulega czemuś, co w zakuli-



sowym żargonie opery zwykło się zwać „abassamento“. Może lepiej, aby nasz folklor był reprezentowany za granicą przez Stryjeńską albo przez Parnella? Gdy Kiepurowa zaczyna mówić, mamy wrażenie, że przypiął kożuch do fraka. A my chcielibyśmy przypiąć mu do fraka nie tylko kwiaty i ordery, ale i usłać nimi drogę. Drogę, którą on tak śmiało wyrąbuje dla polskiej pieśni. Jak uczy wspaniałe doświadczenie, zmusił do słuchania polskiej muzyki nawet Niemców przed czterema laty. Bo wedle słów poety „pieśń ujdzie cało“... Ale słowa?

Na ostatnim wiecu w Starym Teatrze pieśń mieszała się z recitativami politycznymi. Fifthy-fifthy. Pół na pół, jak w owym pasztecie: jeden zajac — jeden koń. Ogólne wrażenie dałoby się streścić w słowie: „parlandował“. Albo melodeklamował. My, pokorni słuchacze, stanowczo wolimy złoto jego śpiewu niż stosunkowo pośledniejszy bilon słów. Hm, trudno go krępować w wyborze kariery. A nuż przy najbliższej rekonstrukcji gabinetu zechce wziąć nie tyle lutnię, co tekę po Beck... warku. W takim razie, aby stało się zadość tradycji, i brat młodszy powinien by otrzymać secundogeniturę w postaci resortu oświaty.

Nie ulega wątpliwości, że w razie objęcia teki przez mistrza Jana, p. Marta Kiepurowa będzie reprezentowała doskonale, z ujmującym wdziękiem. Śpiewa w rytmie, a zachowuje się z taktem. Zawojowała Kraków na całej linii. To nasza miłość od pierwszego wejrzenia.

Kończąc już, poddaję się smutkowi, i pytam po niemiecku: „Sokrates, warum treibst du keine Musik?“...

O, tak, dlaczego mistrz nie uprawia samej tylko muzyki, proszę państwa?



# P O D   B A R A N A M I



Z cylindrem łączy się u mnie jakiś głęboki uraz psychiczny. Gdy pierwszy raz w życiu, jeszcze jako dyrektor teatru, musiałem wystąpić oficjalnie w tej paradzie, maszyniści, myśląc, że ich nie słyszę, uchwalili między sobą, że jest mi w tym bardzo nie do twarzy. „Widziałeś staro w cylindrze? A ci wyglądo!” ...Od owego dnia minęło lat chyba dziesięć i przez cały ten czas cylinder spoczywał w safesie. Po prostu nie odważyłbym się włożyć go na głowę, choć było okazji co niemiara. Tych kilka słów, jakie pozwolili sobie rzucić pod moim adresem maszyniści, wywołało u mnie długotrwałe zaburzenia nerwowe.

Aliści, skoro tylko otrzymałem zaproszenie „Pod Barany”, na obiad urządony dla ambasadora francuskiego, pierwszą myślą moją było, czy przypadkiem nie należałoby pójść tam w cylindrze. Kraków jest to miasto co najwyżej sześciocylindrowe. Wojewoda, prezydent miasta — a już wicewojewoda pożyczają sobie od starosty grodzkiego. Starosta powiatowy ma tylko melonik, natomiast, o ile to nie są plotki, cylinder posiada także

prezes Arcybractwa Miłosierdzia i rabin, jeden zaś egzemplarz należy do znanej wypożyczalni kapeluszy. Do ostatnich czasów znajdował się jeszcze jeden w archiwum aktów dawnych, ale wywieziono go podobno cichaczem do Warszawy razem z innymi zabytkami. Czyli, że mój jest siódmy. Wziąć go czy nie wziąć?

Zrobiłem próbę generalną przed lustrem, lecz jakieś echo dawnego urazu odezwało się we mnie, mówiąc: „Widziałeś starego w cylindrze? A ci wyglądo!“... Nie, raczej nie wziąć! Ale czy można iść li tylko w meloniku „Pod Barany“? Trzymam w ręce zaproszenie, a niepokój rozdziera mi łono. Decyzję odkładam do wieczora, na wszelki zaś wypadek cylinder poszedł do odprasowania.

A czymże ja się tak denerwuję? „Barany“ mi dziwne? Ileż to koron tego świata dźwigałem na głowie a nie głupi cylinder! Byłem królem, cesarzem, ze dwa razy kardynałem, zgładziłem własnoręcznie kilku monarchów, chciała mnie otruć rodzona żona, królowa szkocka, Maria Stuart. „Złote Runo“ też mi nie dziwota. Jeśli zaś idzie o nakrycie głowy, oprócz wspomnianych wyżej koron używałem, np. infuł, a nawet raz — co prawda zastępczo, gdy ktoś zachorował — przybrałem tiarę. I wedle zdań krytyki było mi w niej do twarzy. Nie mówiąc o tym, że jako Stanisław Potocki wziąłem żywy udział w obradach Sejmu czteroletniego, a jako Staś Potocki poległem na ulicach Warszawy w powstaniu listopadowym.

A przecież jestem zdenerwowany. Gorączkowo, z pośpiechem wertuję „Księgę obyczajów towarzyskich“ Rościszewskiego, choć wiem, że mi to i tak nic nie pomoże.

Na pierwszy ogień idzie rozdział o zupie, a wzruszenie rośnie i rośnie. „Nie powinno się ani przechylać ta-

lerza, ani wybierać zupy do ostatka, tym bardziej nie wkrawać bułki ani chleba do zupy“... Okropne, bo ja właśnie od najmłodszych lat mam taki fatalny zwyczaj. Brnę dalej i z każdego słowa wyziera niebezpieczeństwo: „Ani też nie wlewać wina do zupy, bo to zgroza“... Jakżeż ja się powstrzymam, skoro u nas w domu zawsze się wlewało?

Następuje rzecz najgorsza ze wszystkich: „Zupę jada się bokiem łyżki nie zaś czubkiem, iżby nas nie pomówiono o chęć polknięcia łyżki“... A może potem każdy gość musi przejść przez rentgena? Chyba nie, bo skoro zapraszają, to już muszą mieć niejakie zaufanie.

Czytam dalej i jestem jeszcze bardziej speszony. Np. jak trzymać łyżkę? Zdawałoby się, że to łatwe, a tymczasem „łyżkę trzyma się trzema palcami pierwszymi, wywróconymi dłońią do góry“. Które palce są „pierwsze“? Zacząłem trenować w domu, ale jakoś nie idzie. Jeszcze gorzej przedstawia się rzecz z nożem i widelcem, bo „nóż i widelec ujmuje się w obie garście z góry i naciska wskazującym palcem wysuniętym na całą swoją długość“. Niby nic, ale niech to kto spróbuje zrobić! Bardzo, bardzo trudne. Prawie niewykonalne.

Zaproszenie opiewa na 8.30, a tu dobiega 7, ja zaś jestem dopiero w połowie „Księgi dobrych obyczajów“ przy zupie na dróbkach z ancien régime'u. I sam jestem jeszcze do rosołu. Czytając, mam wrażenie, że p. Rościszewski krępuje mnie sznurami, zakuwa w kajdanki, odbiera wszelką swobodę ruchu. Np. „Nie rzucać gałkami z chleba“. Więc cóż ja tam będę robił? A tu idą przykazania dalsze, jeszcze bardziej surowe, które uderzają jakby pałą w łeb. Więc: „Jeść należy bez hałasu, bez mlaskania językiem!“ O, Boże! Albo dalszy

ustęp o manewrowaniu widelcem i nożem. To chyba potrafi żongler czy prestidigitator! „Mięso kraje się po kawałku, przy czym jedni trzymają widelec w lewej ręce i jedzą nim, drudzy zaś odkładają nóż po każdym ukrajaniu i przełożywszy widelec do prawej, dopiero wtedy jedzą“. Czy to jest podzielone wedle jakiegoś klucza? Czy ja mam przystąpić do tych pierwszych, czy też do drugich, którzy przekładają widelec? 7.30. Zbliży się godzina. Tętno raz 50, raz 120. Może by zrobić transfuzję krwi... błękitnej? Albo jeszcze lepiej przeprosić i napisać w ostatniej chwili, że jestem chory, i nie pójść ani w cylindrze, ani zgoła?

Łatwo powiedzieć! Nie iść „Pod Barany“! Przecież „Barany“ to cały kompleks, bagaż pojęć, wyobrażeń, to splot faktów, kawałek historii! To Kraków, to Galicja, to może nawet monarchia austriacko-węgierska! Wymawiając to słowo, mimo woli a wbrew Rościszewskiemu, mlaskam językiem. „Barany, Barany!“ Słowo „Barany“ jest okrągłe jak dukat szczerozłoty, ono dźwięczy i huczy, trąbi i szeleszcze jedwabiem. Trochę, trochę grassey’uje. „Bahrrhany“! Ale przy tym jest bardzo polskie.

Za dawnych, przedwojennych lat starym zwyczajem nie zapraszano nikogo na święcone „Pod Baranami“. Bo nie wypadało zapraszać, natomiast rozsyłano listy z przypomnieniem. Bramy pałacu stały w Wielką Niedzielę otworem. Podobno przez wspaniałe salony, m. in. urządzone meblami, które nieboszczyk Napoleon zamówił przed swym upadkiem i już nie zdążył wykupić, przewijał się dosłownie cały Kraków.

Gdy raz w tej ciżbie gości rzekomo czy naprawdę zginął komuś portfel, gospodarz, skoro rzecz doszła do

jego uszu, miał się wyrazić „za służbę rękę“! Takie słowa przechowała ustna tradycja, choć wątpliwe jest, czy Andrzej hr. Potocki je wypowiedział. „Barany“, to używając terminu łacińskiej gramatyki, „vox media“. „Barany powiedziały to albo tamto“, „Barany jadą“, albo — ale to już rzadsze — „Barany idą“. Nigdy nie mówiło się inaczej.

Gdy za czasów naszych babek powiedział ktoś „pani Arturowa kwestuje w Wielki Piątek“, nie było dla nikogo najmniejszej wątpliwości, że pani Arturowa to hrabina Potocka z „Pod Baranów“. Imionami tych wielkich, a słynnych z urody pań, a raczej imionami ich mężów mierzono pewne epoki. Więc gdy babki mówiły o pani Arturowej, prababki wymieniały panią Adamową czy Alfredową, matki zaś wskazywały dzieciom powóz, mówiąc, widzisz, to jedzie pani Andrzejowa. Bo w tej rodzinie to trochę tak, jak w biblii: Adam zrodził Artura, Artur Andrzeja, Andrzej Alfreda, Alfred Adama, i tak da capo al... fresco.

Gdy przyjeżdżał do Krakowa cesarz albo następca tronu, wiadomo było, że stanie „Pod Baranami“ i pójdzie w pierwszej parze poloneza z panią Arturową, Adamową, Alfredową lub Andrzejową. Lecz gdy pożar zniszczył jakichś biedaków, gdy wylała Wisła, gdy zbierano na broń w 48., albo na szpital czy na budowę pomnika lub teatru, również było wiadomo z góry, że listę składek, jak zawsze i niezmiennie, otworzą także „Barany“, które w tych wypadkach z reguły szły na czele. Noblesse oblige!

Godzina 7.45. Och, jak ten czas bieży niewstrzymanie! Won z Rościszewskim! Trzeba się ubierać. Raz kozie śmierć „Pod Baranami“! Co ma być to będzie!

Oto stoję już smukły i wytworny, zdobny tylko w srebrne runo włosów, w śnieżnej bieli gorsu i w prawie zapłaconym fraku. Drżącymi febrycznie rękami zapinam ostatni guzik, przytwierdzając orderem podwiązki prawdziwe fildekosowe pończochy.

Zajechała taksówka. Wsiadając, wyróżnałem łbem o drzwiczki, aż wyprasowany cylinder załamał się jak front pod Madrytem, (3 złote za odprasowanie — oto koszt reprezentacji. Lecz któż mi łyzy wróci?). Ten cylinder to straszliwy omen! Połknę łyżkę albo coś mi się pomyli z nożem i widelcem. Kto wie, może kulką z chleba rzucę w ambasadora, ulegając staremu nałogowi, albo chlapnę trochę wina do zupy, a to „zgroza“...

Ale nie czas na zgubne przecucia. Cylinder zastępuje mniej feudalnym melonikiem. Taka półinwestytura. A półcylindrowa taksówka wiezie mnie przez wyboje ku „Baranom“.

Potknąwszy się o wysoki próg, wkraczam jak — Pankracy w okopy św. Trójcy. Ze ścian patrzą na mnie hetmani, kanclerze, marszałkowie i gadają biskupy. Per ty, per „kaś ta włoż?“ Gdy przechodziłem obok portretu Rewery, konfidencjonalnie zdzielił mnie buławą w głowę. W ciemię bity, zanuciłem kuplet z szopki krakowskiej:

A ja sobie bockiem  
Przed panem Potockim...

Hajduk jakiś podał mi kłębek nici i tak po nitce przebrnąłem przez labirynt sal, aby wreszcie znaleźć się na pierwszym piętrze, lecz tu czeka mnie niespodzianka, której nie przewidział biegły w tych sprawach Rościszewski. Dwóch pajuków olbrzymiego wzrostu wskazuje mi karteczkę ze słowami „Mr. Nowakowski est prié d'offrir le bras à la Marquise X.“ Znajduję markizę



w ciżbie książąt, aby z gracją nadeptać jej na ogon, aż syknęła, kryjąc to jednak zręcznie pod maską etykiety. Ze zgrozą konstatuje nagle, że nie mam sygnetu. I to już od urodzenia! (Nb. jest w Krakowie pewien profesor uniwersytetu, który szczególnym faworem darzy herbownych akademików, toteż co sprytniejsi studenci asekurują się przed egzaminem, pożyczając sobie aż dwa sygnety. Jeden na prawą, drugi na lewą rękę, tak aby ów profesor w każdej chwili miał sygnet przed oczyma i łatwiej pytał. Sposób na tego snoba niezawodny. Autentyczne!)

Lecz mówiliśmy o „Baranach“, czyli *revenons à nos moutons*. Bardzo tam było pięknie, bardzo bogato, a jeszcze bardziej skromnie i wytwornie. Prawdziwie po pańsku. Przez chwilę zdawało mi się, że mam po dwa sygnety na każdej ręce, a oba skrzydła pałacu urosły mi u ramion. Kuchnia lekka, wina ciężkie, szczególnie polecam stare Cherry. Je się *à la carte* — tylko że nie można wybierać, lecz brać to, co dają i chwalić. Osobiście wolę potrawy zawiesziste, których echo pozostaje dłużej. Gaff i pomyłek zdarzyło mi się niewiele. Nie wylałem wina do zupy, a tylko kilka kropel poszło na out, mianowicie na suknię sąsiadki.

Czymże jeszcze odplacić się za gościnność? Chyba stwierdzeniem faktu, że obcego a dostojnego gościa (mówię o ambasadorze) umieją tam godnie przyjąć. Potrafią w sposób dyskretny otoczyć go atmosferą wykwintną, aurą światowej kultury oraz pogadać z nim biegle o wszystkim i o niczym, więc tak, jak się w ogóle rozmawia z dyplomatami. Urok rzeczy starych i pięknych przemawia ze ścian, skrzy się w kryształowych świecznikach, połyska na talerzach z herbami Wettinów, a nawet piękny obraz Giorgione'a stanowi tam rzecz naturalną, nie wymagającą podkreślenia jej walorów.

Głównie jednak działa tam urok tych rzeczy, których w ogóle kupić nie można. Tak było w tym domu, gdy gościł w nim ks. Józef czy król saski czy cesarz austriacki. Płoną czerwone świece w srebrnych kandelabrach, ja zaś, jedyny w tym gronie szary człek bez tytułu, patrząc okiem autorki „Ordynata Michorowskiego“, myślę sobie, że mimo wszystko formy te, choć przestarzałe, dziwaczne i na codzień zbędne, że cała ta parada stwarza ramy, których, jeśli idzie o przyjęcie cudzoziemca i dyplomaty, nawet bolszewicy nie potrafili czymś innym zastąpić.

Gdy co krok widzi się, jak żyją nowobogaccy, nie mający żadnego, nawet najmniej, bo fikcją tradycji uzasadnionego powodu do zadzierania nosa — to ta wielkoświatowa kultura wydaje się przecież być jakąś nie najpośledniejszą częścią kultury ogólnej, ocalonej w szczątkowych formach z powodzi powojennego prostactwa.

Schodzę po schodach, myśląc sobie, że jednak zamiast wettińskiej porcelany miło jest zarówno w dzień jak i w nocy używać zwyczajnego Ćmielowa, mówić po polsku, chodzić w marynarce i być obsługiwanym przez dom cywilny w postaci jednej wiernej służebnicy. A jeżeli co mi tam uderzyło do głowy, to chyba stare Cherry. Nie przymawiam się, ale gdyby żył Rewera czy przynajmniej starosta kaniowski, posłałby mi przez kozaka omszałą butelczynę.

Oto jestem już poza zaczarowanym kręgiem rasy. Stoję na bruku akurat w tym miejscu, gdzie zamordowano w roku 1539 Bartłomieja Berecci'ego, który także niepotrzebnie pchał się „Pod Barany“. A mnie wcale korona z głowy nie spadła...

— Dorhrhożka! Fiakierhrh!

A jednak grassey'uję. Zaraziłem się.

## SPIS TREŚCI

1. O powołaniu felietonisty . . . . .	5
2. Chłopak z Sosnowca . . . . .	11
3. Sztorm ortograficzny . . . . .	19
4. Ovomaltina . . . . .	27
5. Podszewka . . . . .	35
6. Poza monopolem . . . . .	43
7. Medyceusz . . . . .	51
8. Starosta i Rodziewiczówna . . . . .	59
9. Listy perskie . . . . .	67
10. Szwedzki chleb . . . . .	75
11. Skandal . . . . .	83
12. Potęga medycyny . . . . .	91
13. Mokra robota . . . . .	101
14. Wypominki zaborcze . . . . .	111
15. Iliada kredensu . . . . .	119
16. Marcypon . . . . .	127
17. Towarzyszu Jasiński . . . . .	135
18. Styks i Mastyks . . . . .	143
19. Proszę państwa . . . . .	151
20. Pod Baranami . . . . .	159

T E G O Ż      A U T O R A

D Z W O N E K   N I E D Z I E L N Y  
G A Ł Ą Z K A   R O Z M A R Y N U  
G E O G R A F I A   S E R D E C Z N A (wyczerpane)  
K S I Ą Ż K A   Z A Ż A L E Ń  
K U C H A R Z   D O S K O N A Ł Y  
N I E M C Y   Ą   L A   M I N U T E  
P R Z Y Ł Ą D E K   D O B R E J   N A D Z I E I (wyd. V)  
P U C H A R   K R A K O W A (wyd. VI)  
R U B I K O N      (wyd. III)  
S E R C E      I      B A T  
S T A R T   E D M U N D A   S U L I M Y (wyd. II)  
S T A W I A M      B A Ń K I  
W   P O G O N I   Z A   F O R M Ą  
W   Y   M   A   R   S   Z      (wyd. II)  
W Y T A T U O W A N E      S E R C A  
Z Ł O T Ó W K A   M A N O E L A





# PORTRETY

Osobliwy urok mają dla dzisiejszego czytelnika *portrety* wielkich ludzi. Postaci historyczne, obce zazwyczaj, dalekie i martwe w swej wzniosłej wielkości, stają przed nami w powieści biograficznej jako ludzie żywi, bliscy swym człowieczeństwem. To już nie *wódz* tylko, nie *król*, nie sam *geniusz* — lecz *człowiek*, żywy człowiek, który walczy i cierpi, zwycięża i upada, ale wśród wzlotów i klęsk ludzkie ukazuje oblicze. A jednak w tym zmaganiu swoim naznaczony jest zawsze stygmatem wielkości, który wynosi go ponad współczesnych i nieśmiertelnym go czyni dla potomnych.

Tym właśnie postaciom historycznym, ujętym od strony ich człowieczego oblicza, a odtworzonym na barwnym tle współczesności, poświęcony jest cykl „PORTRETY”. W cyklu tym wyszły już w druku dzieła:

1. T. Żeleński-Boy: MARYSIENKA SOBIESKA
2. M. Lepecki: MAURZYCY AUGUST BENIOWSKI

a w najbliższym czasie ukażą się:

3. J. St. Bystroń: LITERACI I GRAFOMANI Z CZASÓW KRÓLESTWA KONGRESOWEGO
4. J. Feldman: STANISŁAW LESZCZYŃSKI
5. K. Grodecki: KAZIMIERZ WIELKI
6. W. Pociecha: KRÓLOWA BONA
7. K. Morawski: AUGUST II
8. M. Paleologue: ALEKSANDER I

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



II-367797



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000347679